OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 1 MAJ 1936 NR 7–8 ROK IV

STANISŁAW STOMMA

Z POLSKI CHCĄ ZROBIĆ MONGOLJĘ

Mongolja jest jednem z najciekawszych państw na świecie. Doprawdy jest to państwo bardzo ciekawe. Ale ciekawe nie w znaczeniu geograficzno-turystycznem. Turystycznie to objekt zupełnie bezwartościowy. Kraina pustyń i stepów bez żadnych prawie zabytków historycznych i architektonicznych.

Natomiast jest to państwo ciekawe pod względem politycznym. Prawniczo rzecz biorąc, Mongolja jest albo państwem niepodległem, suwerennem, albo też stanowi prowincję państwa Chińskiego. Albo, albo, bo zdaje się, że obie te tezy dadzą się prawniczo udowodnić. Sytuacja polityczna jest bardzo zagmatwana, istny rebus dla znawców prawa międzynarodowego. W każdym razie prawniczo sytuacja jest taka, że albo trzeba uznać Mongolję za państwo niepodległe, albo też uważać za część terytorjum Chińskiego. Prawniczo są te dwie alternatywy. Natomiast niema mowy o żadnem zwierzchnictwie Sowietów nad Mongolją Zewnętrzną i Związek Sowiecki nigdy tego rodzaju pretensyj nie wysuwał.

Tak wygląda strona prawna.

Stan faktyczny jest nieco inny i wcale nieskomplikowany. Od 15 lat rządzi Mongolją komunistyczna partja mongolska, będąca komórką Kominternu, a zatem rządzą ludzie podporządkowani organizacyjnie władcom Kremlu, ludzie uznający nad sobą zwierzchnictwo partyjne grupy rządzącej Rosją. W Mongolji obowiązuje doktryna marksistowska, mająca tam charakter nauki oficjalnej i urzędowej. Poza marksizmem żadne inne ideologje nie są tolerowane, religję narodu Mongolskiego (lamaizm) zwalcza się prawie z tą samą zawziętością, jak się zwalcza w Rosji wszelkie religje. Ustrój komunistyczny jest w Mongolji realizowany zupełnie tak samo, jak w Związku Sowieckim. Wszystkie gałęzie gospodarki zostały skolektywizowane. Oczywiście przy tem wszystkiem cała polityka republiki Mongolskiej jest ściśle uzależniona od Moskwy, a przedewszystkiem polityka zagraniczna.

Taki jest stan faktyczny. Jak widać pomiędzy teorją i praktyką rozbieżność jest bardzo duża. Formalnie jest wszystko w porządku. Sowiety uważają Mongolję za państwo niepodległe. Na wszystkich mapach granica pomiędzy Z.S.S.R. i Mongolją Zewnętrzną zarysowana jest tłustą farbą kolorową.

Ale czyż to jest niepodległość! Cóż to za państwo suwerenne, gdzie władzę sprawują agenci sąsiedniego mocarstwa, gdzie władze naczelne słuchają instrukcyj władz innego rządu.

A przytem cóż to za państwo niepodległe, które nie posiada absolutnie, w najmniejszym stopniu własnej indywidualności ideowej. Każde państwo bez wyjątku posiada i musi posiadać własną postawę ideologiczną, swoją ideę. Naród to nie jest zlepek mechaniczny, i naród to także nie jest wspólnota językowa. Naród to przedewszystkiem wspólnota ideowa, to jedna idea. Państwa jako wytwory narodów też te idee reprezentują.

Naród Mongolski też miał w historji swoje idee przewodnie. Dzisiaj te idee są przekreślone. Mongołom narzuca się importowany marksizm, marksizm, który jest ideą wojującą i ideą władczą sąsiedniego potężnego mocarstwa.

Faktycznie Mongolja jest taką samą prowincją sowiecką, jak jakaś republika Krymska, czy republika Czuwaszów, albo wprost jak gubernia Smoleńska, czy Archangielska.

Z tego to właśnie względu Mongolja jest ciekawym krajem. Zwiedzenie tego, z punktu widzenia politycznego tak bardzo oryginalnego kraju jest wielce wskazane dla wielu polityków francuskich i hiszpańskich. Jest to wskazane dla wszystkich zwolenników i propagatorów idei tak zwanego jednolitego frontu ludowego. Mongolja to już ucieleśniony program jednolitego frontu. Przejażdżka do Mongolji jest tak samo pożądana i dla wielu polityków i działaczy polskich.

My też mamy „jednolity front" in statu nascendi. Tak samo nasz jednolity front jest robiony z rozkazu Kominternu. I skład jego jest taki sam jak wszędzie: trzon i spiritus movens stanowią komuniści. Główna publika to związki socjalistyczne. Poza tem w charakterze przyzwoitek różne grupki liberalno-masońskie, liberalno-naiwniackie i wreszcie rożne takie mniejsze i większe grupy, którym chodzi poprostu oto, by wywołać ferment w państwie.

Nasz front ludowy jest jeszcze w stanie embrjonalnym. Granice tego obozu są zatarte. Niewiadomo kto należy, kto pomaga, a kto tylko sympatyzuje. Są sprężyny, które organizują, ale czynią to wstydliwie, z tych, czy innych względów otwarcie sprawy nie stawiają.

Wśród tych grup organizujących jednolity front znajdują się niewątpliwie liczne ugrupowania szczerze i aktywnie patrjotyczne. Nie da się zaprzeczyć, że w robocie tej uczestniczą jednak pewne elementy patrjotyczne. Żeby wspomnieć chociażby kierownictwo P. P. S. i tak samo różne grupy liberalne związane nieraz z tradycjami walk niepodległościowych.

Kompleks myślowy tych elementów patrjotycznych jest trudny do zrozumienia, postaramy się poniżej go zanalizować.

Spotyka się często takie rozumowanie: Należy zalegalizować Komunistyczną Partję Polski, bo komuniści nie dążą już do oderwania od Polski Ziem Wschodnich, a w razie urzeczywistnienia prawdziwego parlamentaryzmu gotowi są wyrzec się przemocy. — Rozumowanie to nie jest słuszne. Nic nie słyszeliśmy, by komuniści zrezygnowali z programu Białorusi Zachodniej i Zachodniej Ukrainy. — Na ten temat trudno jest dyskutować, bo nie mamy, niestety, okólników Kominternu. Powiedzmy, że nawet tak jest w istocie. Załóżmy, że program rozbioru Polski został zaniechany. Gdyby nawet tak było, powstaje jeszcze zasadnicze — ale. Urzeczywistnienie choćby minimalnego programu jednolitego frontu oznacza sprowadzenie Polski do roli nowej Mongolji.

Zróbmy następujące założenia:

Primo — Program rozbioru Polski zostanie przez komunistów zaniechany. Cały jednolity front przyjmie postulat poszanowania niepodległości i integralność państwa. (Jak np. Mongolja).

Secundo — Jednolity front po zdobyciu władzy zadowolni się realizacją umiarkowanego programu społecznego. — Postulat integralnej kolektywizacji wszystkich gałęzi gospodarstwa nie będzie urzeczywistniany. — Założenie to wydaje się w dużym stopniu prawdopodobne. Program społeczno-gospodarczy, który wysuwa w tej chwili prasa jednolitego frontu jest rzeczywiście bardzo umiarkowany. — Reforma rolna, roboty publiczne i t. p. to są żądania bezspornie słuszne, powszechnie uznane. — Jednolity front stawia sobie za zadanie naczelne ułatwianie gry politycznej prowadzonej przez komisarza Litwinowa. — Ten cel absorbuje główną uwagę i główne siły i dla osiągnięcia tych efektów jednolity front z lekkiem sercem poświęca program społeczny, redukując go do

PAUL CLAUDEL

tłum. *MARJA WINOWSKA*

MILUTKA WIARA MEGO DZIECIŃSTWA

P. Paul Souday zechciał łaskawie poświęcić mi jeden ze swoich artykułów w „Temps".

P. Paul Souday, jako krytyk naogół sumienny i życzliwy został widocznie dotknięty w swoich przekonaniach sposobem, w jaki pozwoliłem sobie zamanifestować mu moje. Raczył jednak zaznaczyć na moje usprawiedliwienie — i to z owym odcieniem politowania które stosuje się do kalek, — że, będąc sobie zwyczajnym poetą i zraziwszy się do tych „lodowców inteligencji" po których chadzają z uśmiechem na ustach i jakby u siebie junacy na miarę Ernesta Havet i Remy de Goncourt, musiałem nieuchronnie powrócić do „miłej wiary mego dzieciństwa". Niedowiarstwo — to teren zarezerwowany dla herosów myśli; inni mogą sobie znaleźć odpowiednie azylum na obszarach legendarnych i ukwieconych połowicznego kretynizmu.

Iluż bohaterów wokół mnie, których żałośnie zapoznałem!

Spostrzeżenie pana Souday zasługuje jednak na uwagę właśnie ze względu na swą wielką banalność. Mimo wszystkich górnych frazesów każde nawrócenie jest zawsze niepokojącym lub conajmniej niewygodnym faktem. Wiara katolika nie jest czemś obojętnem, ale jest to bezpośrednie i osobiste zagrożenie bezpieczeństwa dla każdego, kto jej nie dzieli. Bo przecież, gdyby przypadkiem to, w co wierzy Piotr, który mimo wszystko jest człowiekiem, jak ja i czytał te same książki, okazało się prawdą, wynikłyby stąd dla Pawła różne nadzwyczaj nieprzyjemne konsekwencje. Trzeba koniecznie znaleść jakieś wytłumaczenie dla tego zjawiska jakiem jest wiara, a już zwłaszcza nawrócenie. Najprostszy jest argument zamroczenia władz umysłowych, które sprawia, że delikwent bierze igły za widły. Przy tej okazji nasz własny aparat umysłowy zyskuje na splendorze, co jest i pochlebne i miłe dla samopoczucia.

W tym momencie wkracza zazwyczaj decydująco i triumfalnie cytata słynnej myśli Pascala: „Abêtissez vous"; „Ogłupiajcie się"! P. Paul Souday, który uchodzi za człowieka z dobrym smakiem, nie zatrzymał się wpół drogi.

Gdyby jednak ktoś zechciał rozważyć nieuprzedzonym umysłem faktyczny stan rzeczy, rychło wyłoniłaby się ta oczywistość: iż nieskończenie łatwiej jest nie wierzyć, niż wierzyć. Świat zmysłowy otacza nas i przynagla zewsząd: to takie proste nie widzieć nic poza nim. Rządzą nami potężne instynkty: napewno najwygodniej dawać im posłuch. P. Paul Souday jest niewierzący, ale rzeźnik na rogu i weterynarz z naprzeciwka są też niewierzący i w dodatku bardziej jeszcze niewzruszeni i opancerzeni; gdyby zaś wszyscy niedowiarkowie o tej samej porze wyszli na spacer, zaroiłoby się bardziej na lodowcach inteligencji, niż na placu jarmarcznym. Katolik nie przechadza się po lodowcach, ale żyje w świecie twardej rzeczywistości, który go zmusza do ciągłego wysiłku. To, co myśli, to, w co wierzy nie jest amatorskiem marzeniem, on wie, że stawką gry i to natychmiast, jest samo życie. Nie ogląda Alp w poczekalni na mapie, i to tylko wie, że ma przed sobą coś w rodzaju muru, mozolnego nieraz i wielce szpetnego i że na ten mur musi się wspiąć — albo umrzeć. W słowach mniej pompatycznych musi koniecznie ze wszystkich sił starać się podporządkować to, co w jego naturze jest niższe, temu, co jest wyższe, żyje według pewnych zasad, co jest samą definicją rozumnego bytowania. Tych zasad nie stanowi jego własne widzimisię, co odjęłoby im wszelki autorytet i wszelką powagę, ale sam Bóg, o którym nie jest niedorzecznością myśleć, że będąc Stwórcą, jest zarazem prawodawcą i że nadawszy nam przywilej istnienia może nam nadać jeszcze większy przywilej doskonalszego istnienia w którem osiągamy w pełni nasz cel.

To życie chrześcijańskie i rozumne nie jest bynajmniej łatwe. Nie jest łatwe na planie praktycznym, zwłaszcza dla człowieka nawróconego, który z własnej winy utracił atuty przyzwyczajenia i treningu, to co Pascal wyraża, zresztą niezbyt szczęśliwie, w słowach cytowanych przed chwilą. Myśl, że się utraci niezależność tabunowego konia, że trzeba będzie składać regularnie choćby nie wiem jak ojcowskiej władzy wielce upokarzające wyznania: wszystko to niema w sobie nic osobliwie zachwycającego i natura wierzga mocno przeciw tym praktykom, których dobrodziejstwo tłumaczy nam tylko rozum.

Również i życie umysłowe i wyobraźnia trwożą się zrazu na myśl, że odtąd nie będą już mogły igrać z nieograniczoną swobodą, że zostaną wtłoczone w ciasne ramy nakazów dyktowanych przez wiarę, morał i miłość bliźniego. Później dopiero stają się widoczne niezrównane korzyści, stanowiące kompensatę tej zbawiennej karności.

Nato, aby człowiek nawrócony przezwyciężył te groźne przeszkody — i to zazwyczaj nie bez walk tak ciężkich, że na samo wspomnienie cierpnie skóra, — naprawdę potrzeba czegoś innego niż to, co ludzie wyobrażają sobie w prostocie serca: organy, kadzidło, witraże, kolendy, „Ave Maria" Gounod'a, baranki w szopce i piękne figurki z Saint Sulpice. Niema co mówić, pięknie jest zakonserwowana dla człowieka nawróconego „miła wiara jego dzieciństwa". Łatwo mu przyszło z niej wyjść, trochę trudniej do niej powrócić!

Jeżeli ktoś niewierzący, przynaglany łaską Bożą, o której nie daremnie napisano jest, że trudno przeciw niej wierzgać, wbrew całej swojej naturze, wbrew najskrytszym upodobaniom, zdecyduje się jednak [illegible] ostateczny krok, nie dzieje się to dlatego, że wiara jest „miła" (co za słowo!) ale dlatego, że nie może poprostu bez niej się obejść, tak jak nie może się obejść bez chleba.

Później, po latach, spróbuje może dla zabawy zrekonstruować te zabójcze argumenty, które podszeptywał mu instynkt lenistwa w masce rozumu i zaledwie skleci z nich całość. Zauważy, że ci panowie tak pewni siebie w negacji najczęściej bronią się przed dyskusją i gdy ktoś ich zapyta, w co wierzą i co sami wiedzą, milczą jak zaklęci.

Może znów otworzy książki, w których śladem tylu innych przed laty szukał „rozumu" i „wiedzy" i znajdzie w nich najucieszniejszą kolekcję bredni, sprzeczności, twierdzeń bez pokrycia, błędów logicznych, panoszących się swawolnie, nieścisłości faktycznych i wszystkich sofizmatów, dla których stary Arystoteles sporządził w swoim czasie katalog, a w pierwszym rzędzie ten proceder naiwniutki i częsty, właściwy kobietom i dzieciom, który polega na tem, że zamiast dowodu daje się ilustrację. Albowiem jest rzeczą wielce znamienną, jak to już skonstatował kiedyś Ojciec Gretry, że nigdy nie rozumowano tak źle, jak w tym wieku, który tyle rozprawia o rozumie.

minimum. — Jest to zdaje się tylko taktyka chwilowa. — Ale można założyć, z pewną dozą prawdopodobieństwa, że po zwycięstwie ostatecznem, byłby realizowany tylko ten program minimalny. —

Tertio — Można założyć, chociaż to już jest mało prawdopodobne, że po zwycięstwie Partji Komunistycznej zgodziłaby się ona nadal tolerować swych socjalistycznych i liberalnych „poputczików". — Komuniści stanowią trzon frontu ludowego. Są grupą najsilniejszą ideowo i materjalnie. Grupa ta już dziś kieruje całą akcją, dyskontuje swych sprzymierzeńców, a w razie zwycięstwa byłaby czynnikiem zupełnie decydującym. — Załóżmy jednak, że komuniści zgodziliby się tolerować swych już niepotrzebnych sojuszników, załóżmy, że mielibyśmy dalej jakieś formy współdziałania wszystkich grup jednolitego frontu.

Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń, sytuacja Polski pod rządami jednolitego frontu, byłaby taka sama jak dzisiaj sytuacja Mongolji.

Momentem decydującym byłaby sama doktryna marksistowska. Socjalizm dzisiejszy nie jest już socjalizmem z początku XX wieku, ani socjalizmem pierwszych lat powojennych, którym był liberalizm i parlamentaryzm. — Sekcja poglądowa faszyzmu nauczyła wiele tych ludzi. — Obecnie nietylko komuniści, ale także partje socjalistyczne wysuwają postulat dyktatury proletarjatu. Dyktatura proletarjatu — to znaczy dyktatura partyj marksistowskich. — Dyktatura partyj tak doktrynerskich i dogmatycznych musiałaby nieuchronnie przybrać formy totalnego państwa marksistowskiego.

Państwo totalne marksizmu oto konieczny finał programu jednolitego frontu. — To finał nieunikniony.

Wyobraźmy sobie Polskę jako totalne państwo marksistowskie. Idea marksizmu jako obowiązująca i jedynie tolerowana doktryna. W konsekwencji uznanie chrześcijaństwa a także i wszelkich politycznych ideałów, które w przeszłości kształtowały oblicze ideowe naszego narodu za kłamstwo wymyślone dla tumanienia mas. Wyobraźmy sobie młode pokolenie polskie wychowane w tym duchu, urobione w myśl tej doktryny. Pod jakim [illegible] ono pokoleniem pol- [illegible] języka, bo przecie ci [illegible]waliby się chyba do [illegible] łączności z całą przesz- [illegible] rodu.

Sprawy błahe, ale jakże znamienne — sztandarem obozu marksistowskiego w Polsce są barwy obcego mocarstwa, hymnem tego obozu — hymn obcego mocarstwa. Oczywiście to są momenty trzeciorzędne, momenty zewnętrzne, ale to jest właśnie symboliczne. Wyobraźmy sobie wychowanie w tym duchu młodego pokolenia w Polsce!

Podkreślamy raz jeszcze! Naród to przedewszystkiem wspólnota ideowa, to grupa ludzi wierzących w jedną ideę. Przyjęcie obcych idei przewodnich, zupełne przekreślenie idei przepajających własną kulturę oznacza zatracenie indywidualności przez naród. Oznacza to faktyczne wynarodowienie, oznacza wchłonięcie, zasymilowanie jednego narodu przez drugi.

Widzimy, że silne są te narody i państwa, które wierzą mocno we własną misję dziejową.

Polska wciśnięta między kolektywizm Rosji i hitlerowskie Niemcy ma swoją własną ideę, wyczuwa własną misję dziejową. Nie potrafiliśmy jeszcze tej idei sformułować jasno i wyraźnie. Nie tutaj — w artykule o charakterze negatywnym — nie tutaj jest miejsce mówić o niej szerzej. Ale szereg głosów zaczepia o nią, mówi o niej, stara się ją sformułować. Idea Polski przebija ze wspaniałego listu ks. Prymasa Hlonda, z ostatniej książki Władysława Grabskiego, ze słów premjera Kościałkowskiego, gdy formułował zasady pozytywnego nacjonalizmu. Różni ludzie, różne obozy, różne poglądy — mówią, tęsknią, szukają tego samego.

Wszystkie te myśli nie znajdują narazie konkretnej realizacji na wielką skalę. Jest natomiast u nas jakaś abegacja myślowa, a może też wprost rutyna przedwojennych sposobów myślenia, która powoduje, że są liczne grupy, które usilnie pracują przeciwko swoim najistotniejszym i najpoważniejszym założeniom ideowym.

Młode pokolenie, nie obciążone serwitutami przedwojennej rutyny myślowej, ma wszelkie, zdaje się, dane po temu, by sprawę jasno zarysować, wyraźnie postawić.

Pytamy: Jaki jest cel ostateczny? Ku czemu mamy dążyć? Czy ideowa jest Polska skupiająca przy sobie wszystkich między Bałtykiem i Morzem Czarnem, którzy między dwoma imperjalizmami Moskwy i Berlina, zachować chcą niepodległość zupełną i własne oblicze duchowe, czy też ideałem jest—poprostu— Mongolja Nr. 2.

KSIĄŻKA O KS. EDWARDZIE SZWEJNICU

APOSTOŁ MŁODZIEŻY KSIĄDZ EDWARD SZWEJNIC opracowało grono im. ks. E. Szwejnica Związku Senjorów S. K. M. A. „Iuventus Christiana". Księgarnia Św. Wojciecha 1936 r. str. 214.

Grono ludzi bliskich zmarłemu ks. Szwejnicowi, jego przyjaciół, wychowanków, współpracowników, utrwaliło w tej świeżo wydanej książce szereg żywych jeszcze w ich pamięci wspomnień, związanych z osobą zmarłego. Jako dzieło zbiorowe nie jest to jednolita i wykończona monografja o tym wielkim współczesnym apostole, a tylko zbiór szkiców, nierównych co do wartości zarówno rzeczowej jak literackiej, mających jednak urok i siłę przekonywującą rzeczy, pisanych ze szczerem, gorącem sercem.

Książkę otwiera krótki życiorys ks. Szwejnica, napisany przez serdecznego jego przyjaciela, ks. Czesława Falkowskiego, prof. Uniwersytetu Wileńskiego. Następnie przesuwa się przed czytelnikiem szereg obrazów, z których każdy z innej nieco strony oświetla i przedstawia bogatą indywidualność tej niezwykłej, wyjątkowo przez Boga obdarowanej jednostki, jaką był ś. p. ks. Szwejnic. Obrazy te ugrupowane są wedle trafnej i odpowiadającej materjałowi zasady kompozycyjnej: od rzeczy prostszych, bardziej zewnętrznych, wcześniejszych w czasie, poprzez coraz większe, głębsze, trudniejsze prace tego owocnego żywota, aż do ostatnich jego chwil, do wielkiego momentu śmierci, wobec którego zatrzymuje się piszące pióro.

Mamy więc najpierw początki działalności ks. Szwejnica wśród młodzieży: jego pracę nauczycielską w szkole średniej. Następnie przypomnienie o tem, że ten wybitny pedagog i psycholog umiał również w dziedzinie materjalnej rzeczywistości stwarzać odpowiednie dla swej pracy warunki, że był świetnym gospodarzem akademickiego kościoła, przewidującym twórcą i umiejętnym kierownikiem organizacyj akademickich, odpowiadających zarówno potrzebom chwili, jak i duchowemu nastawieniu młodzieży. Powstanie tych organizacyj, ich ideologję i dzieje, rolę, jaką w ich życiu i rozwoju odgrywał ks. Szwejnic, opowiadają pokrótce dalsze szkice. Po nich zaś przychodzi kolej na wspomnienia, usiłujące „od wewnątrz" niejako ująć postać ks. Szwejnica, przedstawić najwybitniejsze rysy jego psychiki, przypomnieć niezwykłą bystrość psychologiczną, wielkość jego gorącego serca, ujawnić nikomu [illegible] wspomaganych nieznane dzieła miłosierdzia, ukazać go jako kapłana, wodza, „przyjaciela dusz", „dobrego ojca" młodzieży.

Pomimo braku perspektywy historycznej, (od śmierci wielkiego kapłana niema jeszcze 2 lat) książka o ks. Szwejnicu uniknęła grożącego zwykle w takich wypadkach niebezpieczeństwa subjektywizmu i mimowolnego choćby przeinaczania rzeczywistości. Zespół autorski okazał się na wysokości zadania, dając dzieło naprawdę objektywne, jednoczące szczęśliwie poszanowanie prawdy z tonem gorącej miłości i uwielbienia, przenikającym całą pracę. To też życzyćby sobie należało, aby ta książka, interesująca i pouczająca zarówno dla starszych, jak młodszych, zapoznająca z niezwykłym człowiekiem, wzorem i przewodnikiem wielu tysięcy dusz, rozeszła się jak najszerzej, spełniając myśl, zawartą w słowach motta: „...ani zapalają świecy i kładą jej pod korzec, ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu" Mat. V. 15.

H. Wierzbicka.

MARJA WINOWSKA

LIST O NIEZALEŻNOŚCI

Przed kilku tygodniami Mauriac, ogłosił w „SEPT" list wyjaśniający, dlaczego ostatnią swoją powieść, „Les Anges noirs", powierzył pismu tak frywolnemu i „źle myślącemu" jak Gringoire. Liczne interpelacje czytających dewotek i orędowników dobrej prasy skłoniły do tego wystąpienia, niewyzbytego pewnej goryczy. Wszak nie dziw, że tuła się w pośród obcych, skoro go swoi nie przyjęli. Nie przebrzmiały jeszcze świątobliwe zgorszenia zacnych francuskich dam, lokujących autora „Losów" wpośród wszeteczników pornografji. I choć od czasu „Kłębowiska żmij" a zwłaszcza zaliczenia w poczet Nieśmiertelnych papiery jego poszły w górę, prowincja chyłkiem nie przestaje go okadzać dla odpędzenia „uroku" i zabezpieczenia niewinnych umysłów. Swoi go nie przyjęli lub tylko z poświęcenia i cnoty, ale zato farmazoni biorą go takim, jakim jest, pozwalają, by ich przenikała swoim niebezpiecznym, katolickim fermentem. Albowiem właściwością fermentu jest, iż nie trwa bezczynnie. Przenika zwolna wrogi świat.

Żalom Mauriac'a dał pełny wyraz kto inny. Wypadało od dawna, aby pewne „prawdy" zostały powiedziane, nie tylko z partykularnego punktu widzenia, ale także w formie ogólnej dyrektywy. Wpośród napiętrzonych nieporozumień i tarć ktoś musiał zabrać głos, dać wyjaśnienie konieczne. Okazję do takiego wyjaśnienia dał drobny incydent. W nowokreowanym tygodniku „Vendredi" Maritain zamieścił artykuł. Uczynił to na wyraźną prośbę redakcji, proklamującej swoją całkowitą, partyjną niezależność. Wkrótce okazało się jednak, że nowe pismo grawituje wyraźnie w kierunku „Front Populaire". Wśród „dobrze myślącej" publiczności powstała wrzawa. Zaczęto pomawiać Maritain'a o konszachty z nieprzyjaznem stronnictwem. Naskutek wszystkich tych głośnych — a zwłaszcza cichych krytyk i cnotliwych oburzeń Maritain ogłosił list otwarty: „Lettre sur l'indépendance". List ten, to nietylko apologja pro domo sua. Z właściwą sobie, przedziwną lapidarnością Maritain wyjaśnia, jakie powinno być stanowisko katolika wśród współczesnego świata. Tu już nie chodzi o taki czy inny, partykularny przypadek ale o zasadę ogólną, wypracowywaną od lat. Katolicki filozof, którego wpływ na współczesną inteligencję sięga głęboko, nie poraz pierwszy stawia dziś sobie ten problem naglący. Wiemy, że na odczycie podczas Zjazdu Tomistycznego w Poznaniu poruszył go również, na tle innych rozważań. Ale tym razem pytanie zostało wyłuskane w całej swojej nieubłaganej nagości; zarówno pod adresem „wtajemniczonych", i filozofów, jak i tych wszystkich, którzy będąc katolikami, nie chcą legitymować się tylko paszportem, ale również — życiem; i przed którymi życie, to współczesne życie piętrzy bolesne trudności.

Albowiem faktem jest — mówi Maritain — że łożysko historji płynie jakgdyby poza nami. Zasklepieni w uprzedzeniach i schematach nie zdajemy sobie sprawy, jak głębokim przemianom podlega świat. Zamiast wejść w sam nurt historji, kształtować rzeczywistość mocą danych nam w szafarstwo przyrodzonych i nadprzyrodzonych talentów, uprawiamy najczęściej, świadomą lub nieświadomą dezercję. I to rozbrojenie wewnętrzne wobec odpowiedzialności istnienia jest przyczyną wielkiego zła.

„Czyż możemy myśleć bez bólu o tych rzeszach ludzi, których głęboka uraza mająca swe źródło w poniżeniu ich godności człowieczej, zwróciła przeciw chrześcijaństwu, utożsamianemu z doczesnym systemem, który wyparł się chrześcijańskich prawd? *Czy wiemy, ilu jest wpośród nich chrześcijan bezwiednych?* Czyż zdajemy sobie sprawę, jaką rezerwę prawdziwego człowieczeństwa, dobroci, heroizmu wcielonego w ubóstwo i w codzienny trud stanowił dla historji świat robotniczy?"

Nie przyda się na nic negować fakty, zaklamywać rzeczywistość. Wszak „kapitalnem wydarzeniem współczesnego świata jest właśnie to, że masy doszły do historycznego istnienia, że grają wszędzie rolę decydującego czynnika. Ale te wielkie, ludzkie zasoby, tę ostatnią rezerwę historji system „dobrze myślący" oddaje w moc systemu antychrześcijańskiego".

Ze zwykłą sobie ścisłością Maritain podaje definicję systemu, który zwie „systeme bien pensant"; definicję, która brzmi twardo i nieubłaganie:

„*System dobrze myślący jest systemem iluzji i bezwładu.* Ludzie, wychowani w nim, mogą być bez zarzutu w życiu prywatnem, ilekroć jednak chodzi o sprawy polityczne i społeczne, zamykają się w gorzkiej i dobrowolnej ignorancji bliźniego i najoczywistszych spraw, wzbraniają się, jakby zgóry pokonani, przed wszelką inicjatywą, której domaga się od nich działanie Boże w czasie; skarżą się, że świat wymyka się im z rąk, ale mając go w ręku, nie wiedzieliby, co z nim począć, przechodzą przez historję jak mumja w sarkofagu dobrych myśli..

Pod wpływem tej *psychozy defetyzmu* wielu ludzi dobrej woli poczyna sobie tak, jak gdyby świat z góry i nieuchronnie był skazany na zwycięstwo komunistycznej doktryny. Obawy ich nie są płonne, jeśli światło będą chować pod korcem. „Ideologje liberalne dziś już nie mają mocy sprostać ze wszech miar zwartej i konsekwentnie rozbudowanej komunistycznej doktrynie. Tylko chrześcijaństwo zdolne jest przeciwstawić się temu, co w komunizmie jest błędem i fałszem, — dobywając zeń to, co jest w nim prawdą i tęsknotą („na to, aby przezwyciężyć kłamstwo komunizmu, trzeba wpierw zrozumieć prawdę komunizmu", mówi Bierdiajew) — „w swobodnej konfrontacji duchowych walorów i filozoficznych poglądów, filozofji wiary z filozofją ateistyczną, rzeczywistej wolności osoby ludzkiej i wolności ateistycznej, integralnego humanizmu i humanizmu ateistycznego". „Mówiąc tak — dodaje Maritain — nie mam na myśli tylko chrześcijańskiego apostolstwa, które na planie czysto duchowym usiłuje skierowywać dusze ku życiu wiecznemu, ale mam na myśli chrześcijańską filozofję, która w porządku doczesnym i bez żadnej, ubocznej intencji apostolstwa religijnego, lecz tylko poto, aby w tym porządku odnaleść praktyczną prawdę i służyć doczesnemu życiu człowieka, pracowałaby nad odnową struktury społecznej". Filozofja taka nie ma nic wspólnego z porządkiem chrześcijańskim czysto dekoracyjnym, platerującym zasadami chrześcijańskiemi i formułami chrześcijańskiemi istotnie, choć powierzchownie skorygowany bezład nieludzkiego reżimu społecznego i kulturalnego. Sięgając zasad głębszych, domaga się ona głębszej rewolucji, niż to wszystko, co rewolucyjna literatura zwie tem imieniem. Niejeden umysł, szukający tam nieświadomie śladów prawdy, gotów jest na jej przyjęcie".

Ale nato, aby mogli przejrzeć ci, których nieznajomość chrześcijaństwa wprowadziła w błąd, potrzeba, aby chrześcijanie stanęli w szeregu, weszli z nimi w kontakt. *„Jeżeli sami chrześcijanie nie podejmą tych problemów wobec mas, kto inny je podejmie? Kto będzie słuchać, jeżeli nikt mówić nie będzie? Jeżeli chrześcijanie wzbraniać się będą przed zabieraniem głosu, gdziekolwiek tylko nadarzy się im choćby najdrobniejsza szansa mówienia, jakżeż głos ich kiedykolwiek znajdzie posłuch? Jakżeż ludzie, których dzieli od nas mur wiekowych uprzedzeń, będą mogli liczyć się z naszą wiarą, jeżeli zamiast uszanować ich dusze, ich aspiracje, ich duchowy niepokój, trwać będziemy w oszańcowaniu jakiejś faryzejskiej izolacji?"*

Na pytanie to odpowiedź nie jest trudna. Ale w praktyce nie brak trudności i bolesnych konfliktów „z powodu wiekuistego nieporozumienia między chrześcijaninem i światem". Świat domaga się od chrześcijan, wyczekuje od nich, że w pełnej zbroi rzucą się w sukurs armjom gniewu, ustawicznie mobilizowanym przez drzemiące w nim sprzeczności, które go pustoszą i które on kocha. Świat dobrze myślący czy też źle myślący, świat konserwatyzmu społecznego czy też świat rewolucji, wszelki świat tropi chrześcijanina smutnym wzrokiem Minotaura. Z jakąż okrutną tkliwością, z jakąż chciwością śledzi wszystkie jego odruchy, wyczekuje odpowiedzi".

Odpowiedź ta jednak nie znajduje zrozumienia. „Tam gdzie Bóg czyta miłość, świat czyta wspólnictwo. Świat sądzi, że zostało zrozumiane jego pragnienie i że pochłonie obraz Boży, w swoich „mrocznych trzewiach" jak mówi św. Jan od Krzyża. Chrześcijanin sądzi, że zostało zrozumiane jego pragnienie i że wieść, którą głosi, zostanie przyjęta przez świat. „Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że jest to tragedja bez wyjścia, nierozwiązalna antynomja". *„Antynomja ta znajduje rozwiązanie w dialektyce cierpienia".*

Nic nie może usprawiedliwić dezercji, nawet lęk, że na nic się zda interwencja. „Chrześcijanin nie oddaje duszy swojej światu. Ale obowiązkiem jego jest *iść ku światu, mówiąc do świata, być w świecie i to w samym miąższu świata*: nie dlatego tylko, aby świadectwo dawać Bogu i życiu wiecznemu, ale również dlatego, aby na modłę chrześcijanina sprawować urząd swój na świecie, dlatego, aby wbrew wielkiej pomyłce, o której mówiłem przed chwilą, i w samem wnętrzu tej pomyłki, kierować życie doczesne świata ku Bożym wybrzeżom. I pośród świata, i w najgłębszym miąższu świata musi on *wbrew światu* zachować nienaruszenie podwójną niezależność: *przedewszystkiem niezależność wiary, słowa Bożego i cnót, skierowanych ku*

życiu wiecznemu; powtóre niezależność swojej doczesnej działalności jako chrześcijanina, niezależność tego, co, nadając słowu „polityczny“ całą pełnię arystotylesowej myśli, można nazwać politycznemi sprawnościami (vertus) skierowanemi ku życiu doczesnemu i ku dobru ludzkiej cywilizacji“.

Apel Maritain'a znalazł wśród młodych żarliwe echo. Świadczy o tem choćby ów List Otwarty Maksa Scherera, ogłoszony w styczniowym numerze „Vie Intellectuelle“. Wpośród rozbieżnych haseł, mobilizujących katolików pod taki czy inny sztandar, do takiej czy innej partji, potrzebne było to spokojne oświadczenie: *„iż zaangażowanie człowieka w otaczającą go rzeczywistość tem głębsze jest i tem istotniejsze, im bardziej nietknięta jest jego swoboda wewnętrzna“.*

MAURIAC

LES ANGES NOIRS, Paris. 1936.

Świeżo wydana powieść Mauriaca, po dość słabowitym „Fin de nuit“, zdradza znów głęboki i skory do robienia niespodzianek czytelnikowi talent tego najmodniejszego bodaj pisarza. Co do mnie, odnajduję w tej książce dość duży paralelizm z „Noeud des vipères“. Są to dwie książki, których główne piękno leży w tem, że postaci bohaterów autorowi się nie udały. Ani adwokat, ani Gabrjel Gradère nie są tacy straszni jak ich malują... To nie byłoby nic przerażającego — czasami właśnie czytelnik powinien odkryć w zbłąkanych sercach „tajemne źródło czystości“, co zresztą w odniesieniu do ostatniej książki chce mu zasugerować Mauriac, powiadając przez usta ks. Forcas, że wielkość upadku człowieka bywa miarą zadań, ku którym powołana jest jego dusza. Lecz my nie dajemy się zasugerować; Gradere jest wcieleniem całego miltonowskiego romantyzmu zła; uniewinniamy go z wielką chęcią; na chłodno spełniona zbrodnia nas nie oburza i uważamy za całkiem właściwe, gdy nic niczem nie okupiwszy, umiera.

Skrzywdzona dobroć w osobie ks. Forcas (pamiętamy go młodzieńcem w „Ce qui etait perdu“ — Mauriac zaczyna wykańczać dawniej naszkicowane sylwetki) buntuje się i stąd mamy ten dziwny zgrzyt na ostatnich kartach, zgrzyt tem przykrzejszy, że nierozumne pytanie dozorcy robotników w ewangelicznej winnicy Pańskiej, znajdujemy w ustach człowieka, jak chce autor, świętego.

Zresztą szafowanie „świętością“ w ostatniej książce Mauriaca zaczyna nam nasuwać wątpliwości: np. z jakiego pawodu każe nam uważać autor za świętą Adilę, a nie wiele brakuje, aby uświątobliwił także młodego Gradère'a.

Twórczość Mauriaca, wciąż się pogłębiając, okazuje nam jednocześnie swoje słabe strony: brak należytego sądu o ludziach. Bohaterowie Mauriaca żyją własnem i naprawdę realnem życiem, lecz wszystko się psuje, gdy wkracza autor i chce nam narzucić o którymś z nich swoje zdanie. Jest to może paradoks, ale książki Mauriaca lepiej się czują, gdy się do nich autor nie wtrąca; tylko, że wówczas odnalezienie w nich katolicyzmu jest bardzo trudne ... *J. Dobraczyński.*

TADEUSZ ROZBRAT *DYSKUSJA POLITYCZNA*

CZY ISTNIEJE IDEA JAGIELLOŃSKA?

W kształtowaniu się naszego myślenia politycznego odgrywają wielką i nieraz ujemną rolę hasła, pojęcia, do których odnosimy się emocjonalnie, nie starając się o ich głębszą analizę myślową. Jest to jeden z czynników powstawania odłamów, partyj, orjentacyj politycznych w społeczeństwie. Na drodze jednak szukania programu nie wystarczy wybór haseł i ich hierarchiczne uporządkowanie, ale konieczne jest zdanie sobie sprawy z ich istotnej treści, konfrontacja z rzeczywistością nas otaczająca.

Do takich haseł, gdzie najwybitniejszą rolę gra pierwiastek uczuciowy, sentyment, zaliczam t. zw. ideę jagiellońską. Polityka Jagiellonów była polityką dynastyczną. Jedynie Zygmunt August nie mogąc otrzymać potomka porzuca tę linję polityki swej dynastji.

Upraszczamy sobie skomplikowany proces historyczny, które przebyły w ciągu wieków oba państwa, sprowadzając jego wyniki do rezultatów programu politycznego idei rzekomo ożywiającej myśl polityczną polską w dobie jagiellońskiej. Spodziewamy się osiągnąć te same rezultaty stosując zasadę daleko idących koncesyj w stosunku do mniejszości narodowych zamieszkałych na terytorjum państwa polskiego. „Stanowisko nie Korony lecz Litwy — powiada jeden z historyków, wybitny znawca dziejów Unji — miało decydujące znaczenie w kształtowaniu się stosunków między dwoma państwami. Czyż mogło być inaczej? Litwa składała w ofierze swą niezawisłość polityczną. Ta rezygnacja zatem musiała być uwarunkowana przez czynniki wagi pierwszorzędnej. Niebezpieczeństwo zewnętrzne spoczątku ze strony Zakonu Krzyżackiego, później państwa moskiewskiego skłaniało Litwę do szukania Związków politycznych z Polską.

Nie małą tu rolę odgrywały procesy w strukturze społecznej państwa litewskiego.

Bojarowie litewscy w XVI w. przekształcają się z warstwy rycerskiej na stan ziemiański, zatracając swą zdolność bojową. Przyłączenie rozległych połaci ziem ruskich za Olgierda a później za Witolda osłabiło spoistość narodową państwa litewskiego. Element litewski pod względem kulturalnym stał niżej od elementu ruskiego, nie posiadał siły asymilacyjnej, przeciwnie rozpływał się niejednokrotnie w masie ludności niskiej.

Ustrój polityczno-społeczny Polski posiadał niewątpliwie wybitne pierwiastki atrakcyjne dla bojarów litewskich, wszak akt unji horodelskiej z pewną dozą niewątpliwej przesady, ale też nie bezpodstawnie mówi o „jarzmie niewoli“, dźwiganem przez bojarstwo litewskie. Wyższość kulturalna Polski liczącej kilka wieków świadomego w łączności z zachodem pozostającego rozwoju — jest niewątpliwa. W wieku XVI możemy dostrzec ciekawe zjawisko ściągania przez możnowładztwo litewskie artystów, rzemieślników, ba rządców majątków z ziem rdzennie polskich. Stanowią oni w kraju element przodujący kulturalnie. Idea jagiellońska jako program polityczny nie istniała. Nie w założeniach programowych panów polskich, ale w objektywnych warunkach ówczesnej rzeczywistości tkwiła przyczyna takiego lub innego układu stosunków polsko-litewskich.

A czy obecna rzeczywistość polska pozwala nam spodziewać się równie pomyślnych rezultatów polityki uwzględniania wszelkich aspiracyj politycznych, gospodarczych i kulturalnych naszych mniejszości? Czy istnieją objektywne warunki, pod naciskiem których pewne odłamy inteligencji (problem ukraiński jest jeszcze bardziej skomplikowany) wyrzekną się swych dążeń niepodległościowych?

Niebezpieczeństwo bolszewickie dla większości działaczy białoruskich nie istnieje. Przeciwnie pozory państwowości w ramach Związku Sowieckiego stanowią dla nich siłę atrakcyjną. Dowodem ostatni proces literatów białoruskich w Wilnie.

Nie podobna wszak temu przeciwstawić owe rzesze bezrobotnych, tysiące dzieci naszych pozostających po za szkołą, wzrastający powtórny analfabetyzm, niska aktywność naszej produkcji, głód na Polesiu, zarzucenie rynku wydawniczego przekładami z literatury sowieckiej, ba, hipnotyczny zachwyt znacznego odłamu społeczeństwa polskiego wobec eksperymentu bolszewickiego.

Koło zatem swobodnego politycznego, gospodarczego rozwoju dla narodowości niepolskich, które wysuwa p. Józef Święcicki w Nr. 6 Paxu, w dzisiejszej naszej rzeczywistości nie może wystarczyć, a nawet nie może być hasłem hierachicznie nadrzędnem. Jest to drugorzędny element w dziedzinie naszej polityki wewnętrznej. Na pierwszym planie trzeba wysunąć hasło wytężonego wysiłku na drodze realizowania gospodarczej i kulturalnej potęgi państwa, hasło racjonalnego wykorzystywania naszych sił potencjalnych zarówno w postaci kapitału pieniężnego, jak też i materjału ludzkiego. Realizacja tego hasła stworzy solidne podstawy dla polityki zjednywania elementów obcych pod względem narodowym do państwa i kultury polskiej.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Adolf Nowaczyński. **NAJPIĘKNIEJSZY CZŁOWIEK MEGO POKOLENIA.**

Książka, która jest przykładem jak się nie powinno pisać o świętych. A jednak mimo wielu i to zasadniczych braków jest b. interesująca. Może przedewszystkiem dzięki temu, że już oddawna czekało się na jąkąś książkę o Bracie Albercie — niestrudzonym kwestarzu i jałmużniku bez nogi, człowieku ewangelicznym naszych czasów.

Adam Chmielowski to postać niezwykła. Malarz, którego stawiano obok Chełmońskiego, Gierymskich i Podkowińskiego, którego czekała świetna przyszłość, a który rzucił wszystko, przybrał habit franciszkański cicho, bezgłośnie, bez orędzi i manifestów poszedł w służbę „maluczkich, od kolebki wydziedziczonych, dożywotnio bezrobotnych, najuboższych“. „Adam teraz służy tylko opuchlakom“, pisze o nim Stanisław Witkiewicz. Opuchlakom oddał talent, sztukę, sławę i wielkość...

A dzieło Brata Alberta — to t. zw. „Cyrk“ na Dzikiej w Warszawie t. zn. pierwszy dom noclegowy, dający przytułek tym, co marzliby i umierali w rynsztokach, to dom na Pradze, „azylum, zbierające przepadłą, na stratę skazaną inteligencję“. Po 4 takież przytuliska w Krakowie, 3 we Lwowie i szereg w mniejszych miastach. To wreszcie domy pracy dla nieletnich, przytuliska dla znajd sierot, co włóczyłyby się gromadami, i conajmniej zasilały szeregi prostytutek, nożowników, włamywaczy, gdyby ich nie zgarniali z „zakazanych“ uliczek, z przedmieść, z pod mostów szarzy bracia Albertyni, lub siostry Albertynki.

Szkoda, że Nowaczyński, zestawiając fakty, nie zeszedł głębiej, nie ukazał tej niezwykle ciekawej psychiki, którą przeszła tak ogromną drogę, która w „pustyni egoizmów, na której suche wiatry sypią nam w oczy piasek nieprawości ludzkich“ była jak „jasna oaza dosłownego dobra, poświęcenia ofiarności i miłości człowieczeństwa wprost bezprzykładnej“. Szkoda, że potraktował tak naturalistycznie tę postać, w której to, co było najpiękniejsze, to właśnie nadprzyrodzoność, bez której poprostu nie można ogarnąć miary miłości i heroizmu Brata Alberta.

I dlatego sylwetka Chmielowskiego wyszła ostatecznie blado.

Brat Albert czeka, jak sam Nowaczyński zauważa, na pióro polskiego Joergensena, albo na jakiegoś Chestertona, czy Bernanosa, którzyby w twórczości powieściowej dokonali tego, co się niezupełnie udało Żeromskiemu, przybliżyli naszej inteligencji postać polskiego Porezella [1]).

H. W. W.

[1]) Por. doskonały artykuł o Bracie Albercie w „Verbum“ l. 1936.

Stanisław Kasznica — **ROZWAŻANIA.** Księgarnia św. Wojciecha 1935.

Przy o cenie książki religijnej nie wystarczają kryterja, jakie zazwyczaj do innych książek stosujemy. Tu nawet książka dobra może być, żeby tak powiedzieć, zrobiona jakby „na eksport“. Bywają zaś książki nawet skądinąd słabe, ale książki, które mają duszę.

Taką książką pisaną krwią serdeczną, przeżyciami i doznaniami, będącą szczerem a mocnem wyznaniem wiary jest książka Kasznicy. Autor jest jednym z nas i umie do nas mówić. Imponuje nam jego zdecydowana, świadoma swej god-

WITOLD RUDZIŃSKI

U ŹRÓDEŁ RZEKI ELDORADO

Błogosławiony Tomasz Morus (ur. 1478, stracony 6. VII. 1535 r.) został wyniesiony na ołtarze. Wiadomość ta jest specjalnie przyjemna ponieważ chodzi tu o kanonizację człowieka świeckiego, dzielnego kanclerza i dyplomaty, oraz wzorowego ojca rodziny. Ludzie przyzwyczaili się sądzić (pomijając nieliczne jednostki), iż nagół przywilej świętości raczej przysługuje osobom duchownym, które przecież życie pełne cnót uprawiają niemal z zawodu. Dlatego cieszy się serce, gdy za świętego uznany zostanie człowiek o zawodzie podobnym do naszych zawodów: lekarz, uczony, nauczyciel, artysta lub aktor. Życie ludzi świeckich, a zwłaszcza życie rodzinne wciąż potrzebuje nowych wzorów dla pokrzepienia sił, nowych przykładów, wciąż potwierdzających, że świętość jest możliwa zarówno w zaciszu klasztornem, jak w rozgwarze fabryki, a nawet, zgodnie ze św. Franciszkiem Salezym, przy karabinie maszynowym.

Każdy wie, że Morus to autor najsłynniejszej, choć najmniej znanej, „Utopji“, opowieści o szczęśliwej wyspie, zorganizowanej wedle najbardziej szlachetnych praw. Jest to książka z którą wiążą się tysiące problemów. Przedewszystkiem, czy autor podziela wszystkie zapatrywania, które włożył w usta uczestników dialogu, czy też mamy tam do czynienia z ironją, czy też może to są szkice w formie „głośnego myślenia“ -- w których autor bierze pod rozwagę najrozmaitszych kwestyj. Niezmierną osobliwością książki jest bezprzykładna wprost tolerancja religijna panująca w Utopji. W zestawieniu ze szczerą, radosną i ostatecznie uwieńczoną męczeństwem ortodoksją autora nabiera dziwnego posmaku. A kwestje wychowawcze i związane z niemi uwagi na temat doboru płciowego? Słowem, całość twórczości i życia Tomasza Morusa domaga się przystępnie opracowanego i uczciwie przemyślanego studjum pisarza katolickiego. Na tem miejscu zajmiemy się kwestją drobniejszą, ale charakterystyczną dla epoki wielkiego kanclerza.

* * *

Militaryzm. Czasy, w których ziemia była wciąż zraszana krwią ludzi niewinnych, tak jak za naszych czasów. Epoka kiedy każdy władca zbroił się dla celów napastniczych i zmuszał prawem kaduka ludzi pracy do udziału w wojnach. To nieustanne marnowanie dobra, pracy, sił i istnień ludzkich rozdrażniało zacnego i rozumnego kanclerza Henryka VIII, „obrońcy wiary“. Zastanawiając się nad idealnym ustrojem pragnął on rozwikłać również kwestję, co zrobić z militaryzmem. Jak się ustosunkować do kwestji wojny, czy potępić ją zupełnie, czy uznać ją w pewnych wypadkach za słuszną. Oto w streszczeniu tok jego myśli, na podstawie „Utopji“:

Wyśpiarze uważają wojnę za okropną klęskę. Widzą w niej objawy zwierzęcości, i wbrew obyczajom niemal wszystkich narodów, gardzą zdobytą w niej sławą. Mimo to kształcą w żołnierstwie nietylko mężczyzn, ale też kobiety. Ważne tylko powody zmuszają rzeczpospolitę utopijską do rozpoczynania wojny; albo obrona własnego kraju, albo odparcie najazdu nieprzyjaciół i chęć oswobodzenia ujarzmionego narodu z niewoli i ucisku tyrana. W ostatnim wypadku nie chodzi utopijczykom o własne interesy, ale o dobro całej ludzkości. Również za słuszny powód do wojny uważają to, gdy jakiś lud nie robi należytego użytku z posiadanej ziemi i wzbrania jej innym.

W wojnie utopijczycy nie odwagę i waleczność wysławiają, ale zręczność i chytrość, ponieważ przy ich pomocy człowiek zwycięża rozumem a nie siłą. Lew, niedźwiedź, dzik, wilk i pies umieją w walce używać tylko siły cielesnej, siła wszakże umysłu zwycięża ich wszystkich. Przed oczyma wciąż mają jeden cel: osiągnąć to, co, gdyby osiągnęli wcześniej, nie potrzebowaliby wojny prowadzić. Nie mogąc jej uniknąć mszczą się srogo na winnych, ażeby na przyszłość odebrać im chęć podżegania.

Uważając życie i mienie swych współobywateli za najdroższy klejnot, oszczędzają ich życie, a dla prowadzenia wojny wynajmują żołnierzy, nad którymi stawią swego dowódcę. Tylko w razie najazdu nieprzyjacielskiego każdy obowiązany do służby w szeregach wojskowych, do prowadzenia zaś wojny poza granicami kraju wojsko tworzy się z ochotników i nikogo nie wolno przymuszać do brania udziału w wyprawach odległych. Utopijczycy, gdy są zmuszeni do wojny, zawsze sami rozpoczynają działanie zaczepne.

* * *

Oto w kilku punktach kompendjum tych wywodów: 1) wojna jest środkiem ostatecznym, 2) do wojny może skłonić tylko potrzeba obrony, 3) armja jest instytucją obronną i w tym duchu jest wychowywana.

Nazywając militaryzmem taki stan rzeczy, przy którym wojsko jest utrzymywane w celach zaborczych i rozbójniczych a antymilitaryzmem zupełne, samobójcze pozbawianie się możliwości obrony — pogląd Morusa byłby pacyfizmem, który dopuszcza istnienie wojska ale nie dopuszcza rozboju. Taki pogląd pokrywa się prawie zupełnie z poglądem tomistycznym.

* * *

Ciśnie mi się pod pióro Rabelais. „Gargantnę“ i Pantagruela“ skłonni jesteśmy uważać za satyrę na średniowieczne stosunki, za zbiór bardzo pociesznych, niekiedy nazbyt rubasznych i ordynarnych kawałów — a przecież to

ności i odpowiedzialności postawa katolicka. Postawę człowieka, dla którego świat nadprzyrodzoności jest tak rzeczywisty, jak świat materjalny, i wyrównuje słabość niektórych partyj, które są właśnie jakby „robione".

Ks. Rouzic Ludwik — **ZAGADNIENIE NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.** Księgarnia Św. Wojciecha.

Zagadnienie nieśmiertelności duszy to jedna z tych kwestyj, nad którą każdy choć raz zadumać się musi. Pytanie to idzie za człowiekiem wślad i rozdziera naszą świadomość tyle razy, ile razy stajemy nad grobem bliskich. Stąd tak charakterystyczna prośba o książkę, która „dałaby nam wiarę" w życie pozagrobowe, w żywy kontakt z tymi, którzy odeszli. Pragnieniu temu chciał odpowiedzieć Ks. Rouzic. Niestety nie daje on choćby spopularyzowanych zasad filozoficznych gruntujących w człowieku wiarę „w żywot wieczny", nie rozbudowuje wiary w piękno i wspaniałość świata, którego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Przeciwnie w sposób poprostu groteskowy, niestety przyjęty w literaturze dewocyjnej, stara się zamknąć życie zagrobowe w kategorje ludzkie — jakie naiwne opowiadają bajeczki, jak będą wyglądać w niebie stosunki małżonków, narzeczonych, przyjaciół i t. d.

Ach, żeby to przestały nareszcie wychodzić podobne książki, pogłębiające nasz religijny sentymentalizm i dyletantyzm.

O. Marjan Pirożyński C. S. S. R. — **ZAKONY ŻEŃSKIE W POLSCE.** Lublin. Uniwersytet Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej 1935.

Jest to zestawienie cyfr, faktów i dat odnoszących się do działalności społeczno-charytatywnej i kulturalnej zakonów żeńskich w Polsce. Autor nie myli się przypuszczając, że pokazanie olbrzymiego dorobku Kościoła polskiego choćby na tym jednym odcinku jest najlepszem lekarstwem — na nieufność katolików we własne siły, wypływającą z niedoceniania własnej wartości. *H. W. W.*

PRZEGLĄD PRASY

Kongres kominternu polecił czynnikom komunistycznym przesiąkanie do wszelkich organizacyj, wszelkiego typu, ażeby wszędzie siać bezbożnictwo i nędzę. Z innej strony — z tej po której stoją wszyscy wierzący — a więc i my — nie robi się prawie nic, aby temu zapobiec, aby zmobilizować rozproszone siły. Bardzo pięknie pisze o tem ks. Jan Urban w art. p. t. „Wobec wspólnego zadania". („Oriens" 1936 zesz. 2).

„Dużo możemy czynić, by uchronić nasze społeczeństwa i kraje przed dżumą bezbożnictwa, by nie dopuścić do zaistnienia nawet w przyszłości warunków dla prześladowania religji. To jest wspólne zadanie wszystkich wierzących. Różnimy się jedni od drugich wyznaniem, przynależnością kościelną. Te różnice nie powinny przesłaniać nam tego, w czem jesteśmy zgodni, — wiary w istnienie Boga, przekonania o zależności człowieka od Stwórcy. Można być żydem, nie uznającym Syna Bożego, a jednak jeszcze solidarnym z chrześcijanami w uznaniu wspólnego Ojca ludzkości. Tem większa solidarność winna skupiać do obrony wspólnego skarbu wiary tych, co Chrystusa mają na ustach i w sercu, chociaż losy dziejowe rozłączyły ich i zamknęły w odrębnych Kościołach. Niechaj nie przypuszczają prawosławni, że może mówimy sobie: im gorzej będzie z nimi, tem lepiej, na zgliszczach prawosławia będziemy kiedyś krzewili katolicyzm. Dalecy jesteśmy od takich złych uczuć. Pragniemy by przyszli do Domu Bożego silni swą wiarą w Chrystusa, w dobrowolnem uznaniu jego wezwania do jedności. Nie chcemy budować dopiero na ruinach. Zachowanie silnej wiary w społeczeństwie prawosławnem leży także w naszem, katolików, interesie, jak silna wiara u katolików leży w interesie prawosławnych. Gdzeindziej widzimy już ścisłą współpracę katolików, protestantów, prawosławnych w zwalczaniu bezbożnictwa. W Genewie istnieje taki związek: Pro Deo. Paryska katolicka antybezbożnicza Unitas otwiera swe łamy dla piór pisarzy prawosławnych. Dlaczegoby w Polsce wszelka współpraca prawosławnych i katolików miała być niemożliwa? Trudności przeciwko akcji wspólnej przeciwko bezbożnictwu pochodzą nie z istoty tej akcji, ani z różnic dogmatycznych, lub kanonicznych zakazów — bo tu nie chodzi o communicatio in sacris — lecz z animozyj rozmaitych, jakich są pełne nasze pokłócone dusze. Dużo nawzajem sobie pamiętamy: dawne krzywdy z jednej strony, uczucie pewnego upokorzenia z drugiej, polityczne tendencje z obu. Czas już te wrogie nastroje przezwyciężyć wobec dalego groźniejszego wspólnego wroga".

*

Jednym z atutów programu kolektywnego jest wspólne, koszarowe wychowanie.

Dziecko rosnące bez opieki rodziny, wśród swoich rówieśników w zakładzie publicznym ma najlepsze szanse aby wyrosło na dzielnego i uspołecznionego obywatela. — Przyjrzyjmy się faktom.

Zofja Charszczewska w „Życiu dziecka" (Nr. 11. 1935 r.) kreśli parę uwag na temat ujemnych stron wychowania zakładowego. Interesujący jest „fakt, że spośród dzieci, które w ciągu 200 lat przeszły przez Dom Wychowawczy im. ks. Bauduena w Warszawie — będący największym zakładem zamkniętym w Europie, zakładem, do którego rok rocznie przybywa około 1000 dzieci—nie wyszedł żaden człowiek o znanem, głośnem nazwisku. To samo słyszy się w odniesieniu do innych zakładów wychowawczych".

A o wychowaniu w rodzinie czytamy takie słowa: W przeciwieństwie do dziecka wychowywanego w zakładzie „jego rówieśnicy, przebywający naprzemian w domu, w szkole i na podwórku wśród kolegów, nawet przy najostrzejszym rygorze domowym mają dość okazji do powzięcia samodzielnej decyzji. Ot, śnieg spadł, można iść na saneczki. A więc 9-cioletni dzieciak stacza walkę wewnętrzną: czy pójść saneczkować się, czy też wpierw odrobić lekcje? Poczucie obowiązku walczy z chęcią użycia przyjemności. Nasuwają się argumenty przemawiające za takim lub innym wyborem. Dziecko myśli, zastanawia się i decyduje".

*

Nr. 11 tygodnika „Naród i Państwo" (por. Pax nr. 3 b. r.) zawiera interesujący artykuł B. S. p. t. „Do źródeł prawdziwej kultury". Autor pod wieloma względami dochodzi do tychże wniosków, co H. Obiezierska w art. p. t. „Fizjologizm dnia dzisiejszego" w poprzednim numerze Paxu. Oto parę wyjątków:

„Wartość społeczna dzisiejszej literatury polskiej może budzić najbardziej uzasadnione zastrzeżenia. Żyjemy w niesłychanie aktywnej epoce historji, żyjemy w ogniu wielkich przemian, żyjemy w obliczu ogromnych możliwości, zarówno twórczych i dodatnich, jak ujemnych i niszczycielskich. Nic z tego, albo niemal nic, nie odbija się na kartach naszej literatury w sposób istotnie poruszający serca, umysły, czy sumienia, mający wartość czynną, trwałą, zapładniającą. Niedarmo najlepszym wykładnikiem tej literatury na dzień powszedni stały się „Wiadomości Literackie", największym bodajże sukcesem artystycznym lat ostatnich amoralna i aspołeczna powieść Choromańskiego, najgłośniejszem wydarzeniem literacko-społecznem „Zmory" Zegadłowicza. Czy ostra polityka cenzuralna, albo ostry sposób reakcji opinji publicznej na zjawiska w rodzaju wyżej przytoczonych, mogą przyczynić się do istotnego wzrostu pozytywnej wartości społecznej literatury polskiej?

Na to pytanie odpowiedź zdaje się nie pozostawiać wątpliwości. Istota zagadnienia nie na tej leży płaszczyźnie. Można wprowadzić najostrzejszą cenzurę, a mimo to nie mieć literatury wartościowej. Można zostawić dużą swobodę pisania, a równocześnie dać literaturze tworzywo szersze, niżeli tylko odtwarzanie takich, czy innych stanów fizjologicznych. To nie jest zagadnienie cenzury ani policyjnej, ani społecznej, to jest zagadnienie atmosfery życia zbiorowego. Zależność literatury i życia jest niewątpliwa. Jednakże w znacznie większym stopniu życie oddziaływuje na literaturę, niżeli literatura na życie. Jednakże rzeczą istotną jest nie to, że wychodzą „Wiadomości Literackie", że ukazują się książki Choromańskiego i Zegadłowicza. Rzeczą istotną jest dopiero fakt, że pozycje powyższe są naczelnemi pozycjami polskiej twórczości umysłowej lat ostatnich. Z punktu widzenia literatury polskiej pozycje te mogłyby być niewątpliwie wartościowemi strumyczkami, czy strumieniami, aczkolwiek o nieco zmętniałej wodzie, wlewającemi się w żywy i wartki nurt całości naszej literatury. Dopiero kiedy nurt ten jest tak słaby, że zmętnienie staje się cechą całości, dopiero wtedy zjawia się zagadnienie w dzisiejszej postaci, zagadnienie ubóstwa ideowego współczesnej literatury polskiej. Kto ze zjawiskiem tem chciałby jednak walczyć środkami tylko, lub przedewszystkiem, negatywnemi, nie oddawałby sprawie kultury polskiej dobrej przysługi. Kto istotnie chciałby szukać przyszłości kultury polskiej na gościńcu szerszych zainteresowań społecznych, a równocześnie chciałby, aby literatura polska była dobrą przewodniczką Narodu na trudnych drogach współczesności — ten musi do zagadnienia dzisiejszego stanu naszego życia kulturalnego podejść z programem zarówno śmiałym, jak pozytywnym. Jeżeli chcemy mieć idee w literaturze, musimy je mieć w życiu".

*

Ach, jak jest dobrze w Polsce. Dowiadujemy się o tem z 16 n ru „Naszego Przyjaciela". Cytaty mówią same za siebie:

„Gdyby tak jeszcze nieco lepiej było pod względem gospodarczym, naprawdę można byłoby żyć i Boga chwalić. Że tam gdzieś ktoś zastrajkuje, żydowi szybę wybije, że w policjanta kamieniem rzuci, a policjant, jak to było niedawno w Krakowie, w obronie własnej strzeli z karabina, toż to takie drobnostki, jakie się zdarzają prawie codzień w każdej wioszczynie między młodzieńcami, co o pannę się pokłócą".

Niema to jak na wsi! Policjanci strzelają, robotnicy cegły ciskają, a kmiotek wypaca w zadowoleniu codzienny chleb. Tak przynajmniej uczą autorzy przeglądów politycznych w prasie, przeznaczonej dla ludu. *wr.*

*

Próby sformułowania haseł przynosi nam wstępny artykuł p. t. „Hasła współczesnej Polski" zamieszczony w 3 numerze „Włóczęgi", i podpisany T. N. Jest tam znowu, że Polska winna być demokratyczną republiką ludową, że powinno się zrealizować powszechność nauczania i reformę rolną, że produkcja musi się opierać na drobnych przedsiębiorstwach, że brak kapitałów musimy zastąpić dobrą organizacją pracy, że powinno się wypowiedzieć wojnę centralizmowi i biurokracji, że wreszcie w stosunku do innych narodowości należy „iść po linji tworzenia ze swych mniejszości dobrych obywateli państwa polskiego, niezależnie od języka i wyznania".

„W dziedzinie stosunków międzypaństwowych" ...cytujemy ustęp końcowy musimy zachować nietylko pozycję obronną — musimy również atakować.

Kierunki naszej ekspansji zostały nam wskazane przez Marszałka: pokój na zachodzie — ofenzywa na wschodzie.

Polska — „Rzeczpospolitą narodów na wschodzie Europy — oto jedno z naszych podstawowych haseł. Do tych narodów z którymi nam losy wyznaczyły współpracować zaliczamy w pierwszym rzędzie Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Estończyków. Ich niepodległość leży w naszym interesie. Z Estonją stosunki mamy uregulowane. Zadaniem dnia dzisiejszego jest ułożenie stosunków z niepodległą Litwą. Zadaniem dnia jutrzejszego będzie poparcie ruchów wyzwoleńczych Ukraińców i Białorusinów w Rosji. W ten tylko sposób będziemy mogli położyć tamę narastającej grozie ofenzywy rosyjskiej na zachód".

Nasz stosunek do tych haseł dałoby się określić jak następuje: Demokratyzm i wszystko to, co się tyczyło polityki wewnętrznej są to bardzo czcigodne, ale stare, oklepane i mało-atrakcyjne rekwizyty polityczne, których nie da się z powodzeniem przeciwstawić, ani komunizmowi, ani ruchom narodowo-radykalnym. Pod tym względem próba formułowania haseł zawiodła i trzeba nie zrażając się trudnościami podjąć ją na nowo.

W dziedzinie stosunków narodowościowych wewnątrz i nazewnątrz państwa, oraz stosunków międzypaństwowych sformułowane hasła są bardziej nowe i atrakcyjne, chociaż trochę za mało konkretne, za bardzo mgliste i niedostatecznie umotywowane. Twierdzimy, że nie powinno się motywować pozytywnego stosunku do ruchów wyzwoleńczych tych czy innych narodowości wyłącznie własnym interesem politycznym i chęcią osłabienia kogoś z sąsiadów.

Pod względem dyplomatycznym to trochę niezręcznie, a pod względem ideowym blado.

Ideologja, a teorja interesu są to rzeczy różne i jedno drugiemu często przeszkadza. Znamy wielu polaków, którzy bardzo chętnie walczyli o niepodległość innych narodów bynajmniej nie dla tego, że widzieli w tem interes własnej ojczyzny i to jest ich największy tytuł do sławy. Znając naturę polską, wydaje się, że trzeba nam nawet w polityce zagranicznej takich haseł, któreby nas porywały słusznością i szczerością idei, a nie odstręczały ukrytą intencją korzyści.

Korzyść bowiem często odnieść można właśnie wówczas, kiedy nie jest zamierzona. *J. S.*

---

jest pierwszorzędna Utopja! Stosunki na dworze króla Tęgospusta żywo przypominają rozmyślania Morusa, tylko, że wszystko jest spowite w szatę ironji, skrzyżowane z satyrą, z opisem przygód dla samego opisu. Zwłaszcza uderza zbieżność poglądów — właśnie w dziedzinie omawianej zagadnienia wojny. Przyjrzyjmy się pokrótce słowom mistrza Rabelais'go, pamiętając, że jest to jedno z przedstawień wojny najbardziej zgodnych z chrześcijańskim poglądem na te sprawy.

* * *

„W onej porze, a właśnie miało, się na jesienne winobranie — pasterze okoliczni strzegli winnic i pilnowali, aby szpaki nie wydziobały jagód. Owo zdarzyło się, iż piekarze Lerneńscy przechodzili gościńcem, niosąc z sobą paręnaście ładunków kołaczy do miasta. Zaczem pasterze poprosili ich uprzejmie, aby im odstąpili nieco towaru, rozumie się za uczciwą zapłatą. Ale piekarze nietylko nie przychylili się do ich życzenia, ale (co gorsza jest) natrąbili na honor, dając im 29 obelżywych przezwisk (następuje wyliczenie). Na tę zniewagę, jeden z pasterzy, imieniem Kowalik, człek godny a roztropny, odparł spokojnie: „Toć zwyczajnie dajecie nam chętnie, a dziś odmawiacie? To nie po sąsiedzku... Toć jeszcze, ponad umowę, bylibyśmy wam dodali naszych winogron..." Wówczas Marcik, starszy cechu piekarzy, rzekł: „...Chodźno tu, chodź ino, wnet tu dostaniesz kołaczy". Zaczem Kowalik przybliżył się z całą prostodusznością, dobywając grosiwa z sakiewki i myśląc, że w istocie Marcik chce mu ustąpić kołaczy. Wtedy tamten zaciął go batem po nogach, poczem chciał dać drapaka, ale kowalik zaczął krzyczeć gwałtu co miał sił, a zarazem cisnął nań wielkim sękaczem. ... Wreszcie (pasterze) dopadli (piekarzy) zbliska i zabrali im z jakie 4 lub 5 tuzinów kołaczy, zapłacili wszelako zwyczajną cenę i dodali setkę orzechów i trzy kosze winnej jagody; następnie piekarze pomogli wsiąść na kobyłę Marcikowi, który był szpetnie okaleczony i skierowali się spowrotem do domu.

Wróciwszy do Lerny, piekarze, nawet nie zjadłszy i nie napiwszy się, udali się natychmiast na Kapitol i tam przed królem Żółcikiem, trzecim tego imienia, wytoczyli swoje skargi... I powiadali, że to wszystko się stało za sprawą pasterzy i czeladzi Tęgospusta. Wraz Żółcik popadł w straszliwy gniew, i nie dopytując się już więcej co i jak, kazał ogłąbić po kraju wojnę. (Następują przygotowania wojenne). Zaczem, bez ładu i porządku, jedni przez drugich ruszyli w pole, niszcząc i pustosząc wszystko, co spotkali w drodze... Trudno opisać spustoszenie, jakie zostawili za sobą. I nie spotkali nikogo, ktoby im stawił czoło.

Jeden z pasterzy przybył do króla Tęgospusta i opowiedział w całej osnowie wybryki i rabunki, jakich dopuszcza się Żółcik, król Lerneński, na jego ziemiach i dziedzinie. Król biada, że serdeczny jego przyjaciel, król Żółcik, dostał nagle jakiegoś szału. Wszakże nie podejmuje wojny, zanim nie wyczerpie wszystkich innych sposobów i środków utrzymania pokoju. Na radzie postanowiono wysłać poselstwo do Żółcika i prosić o zaprzestanie walk. Po nieudanej misji poseł wrócił do króla, którego zastał na kolanach, z gołą głową, pochylonego w kątku komnaty i modlącego się do Boga, aby raczył uśmierzyć gniew Żółcika i przywieść go do rozumu, bez potrzeby użycia siły. Wówczas król wzamian za kołacze, zabrane przez pasterzy (za uczciwą zapłatą) każe zwrócić Żółcikowi pięć fur pieczywa. Najeźdźca okup zabrał, ale wojny nie zaprzestał. Dopiero gdy i te argumenty nie pomogły, wyszedł król ze swymi dzielnymi żołnierzami i rozbił w proch wojsko Żółcika.

Oczywista to tylko skrót soczystego i żywego opisu całej batalji. Porównajmy to wszystko z cytatami z „Utopji". Przecież to prawdziwa i doskonała ilustracja do wywodów Morusa!

Oto jak w w. XV i XVI ludzie poszukiwali złotych skarbów ukrytych w nieznanej dotąd rzece Eldorado.

ANTONI GOŁUBIEW *(Fragmenty z powieści)*

BRACIA Z POD ARKAD

— Miło jest, niesłychanie miło, gdy kompanja się zwiększy. Możemy z uśmiechem ucztować w dalszym ciągu, ucztować bez końca. Pijmy przyjaciele.

Wypełnili szklanice i wznieśli je w górę. Byli rozpaleni trunkiem, rozochoceni śpiewem.

— Matko — zawołał gospodarz — daj lepszego wina, tego z prawej strony piwnicy.

Chłopak, który im służył kopnął co sił. Gdy wrócił pod pachą trzymał omszały gąsior; gospodarz podniósł butelkę w górę i rzekł:

— Pijmy!

Malarz-archanioł odchylił się do tyłu. Policzki miał trochę zaróżowione, w oczach lśniła mu wiosna.

— Jestem wam wdzięczny za dzisiejszy wieczór. Wysoko pod niebem nie tęskniłem za ludźmi, ale gdy zszedłem na ziemię wdzięczny wam jestem bracia za przyjęcie mnie do swego grona. Jesteście dobrymi ludźmi, skoro śmiejecie się z taką radością. Jesteście mądrzy, skoro zajmujecie się rozwiązywaniem zawiłych problemów, których ja częstokroć nie rozumiem.

— No, może nie wszyscy z obecnych tutaj są uczonymi — rzekł urażony nieco filozof. Ale jeden z nas jest uczonym. Obecnie zajmuję się zagadnieniem szczęścia. Pan wie już o tem. Mam już ułożoną teorję i szukam jej potwierdzenia w życiu. Treść mojej teorji jest niezwykła, forma zaś...

— ...Każda treść — przerwał malarz-archanioł — winna być przedewszystkiem prawdziwa; forma zaś — piękna. To przecie znane.

— Prawdziwe? — zdziwił się filozof — żaden człowiek na całym świecie nie wie, co jest prawdą.

— Oczywiście; i dlatego musi spytać o to Boga.

— A jeśli kto w Boga nie wierzy? — spytał uszczypliwie filozof.

— Musi zrobić wszystko, żeby uwierzyć.

W tej chwili młynarz, który cały czas słuchał w milczeniu, trącił łokciem gospodarza zajazdu.

— O czem oni gadają?

— Nasz filozof ględzi, jak zwykle. Czasem go coś takiego napadnie.

— Więc trzeba mu przerwać. Bracie Michale...

Brat Michał nie był zadowolony z rozmowy, jaką toczono. To też przerwał ją, gdy tylko filozof zatrzymał się dla nabrania tchu.

— Panowie — rzekł — zebraliśmy się tutaj nie dla uczonych dyskusyj. Zebraliśmy się, by cieszyć się z życia — jesteśmy wszak na uczcie. Więc ucztujmy. Napełnić szklanki.

Słońce już zaszło. Izbę ogarniał mrok. Wniesiono świece. Pięciu mężów piło. Gospodarz ściągnął z piwnicy jeszcze jeden gąsiorek. Z tajemniczą miną począł nalewać gościom przejrzysty płyn. Mówił:

— To jest dopiero rarytas, zobaczycie. Sprowadziłem to zdaleka, sprowadziłem na największe uroczystości. Spójrzcie jakie to przejrzyste. Niebyle co... pijcie przyjaciele. I smakujcie...

Archanioł-malarz wychylił swoją szklanicę.

— Barbarzyńca — krzyknął filozof — jak on pije. To trzeba pić z nabożeństwem. A on... duszkiem...

Malarz zwrócił na niego jasne spojrzenie.

— Na czem polegał mój błąd? — spytał.

— Jak można... takie wino — oburzał się filozof — jak można? To trzeba powoli... Czy ty nie wiesz, przyjacielu, jak się pije?

— A jak?

— Powoli. Zanurza się usta w płynie. Wciąga się niedużo. Cienką strugą puszcza się przez środek języka do wgłębienia, które się czyni koło gardła. Gdy się płyn zbierze w dostatecznej ilości język przyciskasz do podniebienia, żeby wino zalało całą jamę ustną, żeby zwilżyło podniebienie, język, części pod językiem, nawet gardło. Potem łykasz powoli.

— Ależ to rozpusta — wykrzyknął malarz — to poprostu wyrafinowana rozpusta. I pan... filozof...

— Jest to praktyczna filozofja rozkoszy — odrzekł tamten.

Malarz zrobił ruch obrzydzenia.

— Ależ panie — wstawił się za przyjaciela młynarz — zważ jakie wino pijesz. O tem też trzeba pamiętać. Tego nie można poniewierać, jak zwyczajnego moszczu.

— A cóżto za wino? — spytał gość.

— To jest niebyle co — odparł gospodarz, pieszcząc w rękach gąsiorek — to jest Lacrima Christi.

Straszny jest gniew barbarzyńcy. Gość zerwał się. Był nadal archaniołem, lecz archaniołem rozgniewanym, płonącym oburzeniem za zniewagę swego Boga. Policzki zalał mu szkarłat. Oczy rzucały gromy.

— Lacrima Christi — powtórzył — i wy takie wino pijecie?! Wy używacie go nawet do wyrafinowanej rozpusty? Wino, które się tak nazywa. Żaden uczciwy człowiek nie odważy się pić tego wina. Lacrima Christi!

Stał przez chwilę.

— Chodźcie przeprosić Boga za to, coście uczynili — powiedział nagle. Nie oglądając się, pewny, że wszyscy dążą za nim, wybiegł z izby.

*

Oni we czwórkę siedzieli oniemieli. Co się ich ekscentrycznemu gościowi stało? Młynarz mruknął:

— Zupełnie jakby go tarantula ukąsiła.

Milczeli. Świece, które zamigotały przy nagłem otwarciu drzwi, teraz płonęły równo i spokojnie. Na stole stał gąsior z winem.

— Chyba się napijemy — niepewnie zaproponował gospodarz.

Brat Michał wstał i w milczeniu opuścił izbę. Ciemną uliczką miasteczka szedł ku kościołowi. Nie dlatego, by chciał kogoś przepraszać za swe uczynki, co znowu? Szedł po to, by raz jeszcze spojrzeć na malarza-archanioła. Dlaczego? sam nie wiedział. Szedł wolno, zdumiony fanatyzmem ludzkim. — Cóż za człowiek? — pytał sam siebie. Z oddali doszło go skrzypienie drzwi kościelnych. Gałęzie drzew szeleściły. Było parno.

Przeszedł mały cmentarzyk kościelny i wszedł do świątyni. Stanął niepewny, co ma robić. Nie przyszedł tu przecie, by się modlić. Malarz znikł w czarnym mroku, jaki tu panował. Daleko przed głównym ołtarzem żarzył się płomyk. Z boków płonęły dwie świece. Brat Michał szedł wolno boczną nawą. Cisza, cisza zupełna. Brat Michał poczuł zapach topionego wosku. Stanął. Zdziwionym wzrokiem rzucił dokoła. W nikłym blasku świec występował z czerni ołtarz — niewyraźny jak widmo. Czarny krzyż rozchylał ramiona. Jakieś rzeźby, jakieś malowidła majaczyły w pomroce. Ktoś tu ma przyjść, ktoś ma zapalić resztę świec. Chór braci zakonnych ma śpiewać pieśń, której się właśnie nauczył. Jeszcze nikogo niema. Czeka tylko brat Michał. Powinien się modlić, a on stoi bezmyślnie. Z zakrystji ktoś, zdaje się, wychodzi. Długa broda. Staje w ostrołukowej arkadzie, patrzy w ciemność. To brat Paweł. Przyklęknął. Powstał, przeżegnał się, ruszył przez kościół. Idzie do brata Michała, idzie wolno. Długa broda, płonące oczy, zapadnięte policzki. Najsurowszy z braci.

Brat Paweł...

*

— Ty nie wiesz nawet, bracie Pawle, ile jest zła na świecie. Ty od młodych dni jesteś zamknięty w tych murach i może znasz pokusy, lecz nie znasz zła. Nie wiem, czy potrafisz z niem walczyć. Zło jest przeróżne. Przejawia się w najpiękniejszych formach, łudząc nas pozornem pięknem. Nie można go zwalczać tylko ciągłem biczowaniem się — w chłostaniu siebie może się ukrywać i pycha i nieczystość i gniew i nienawiść siebie samego... Zło nie tylko chłostą można zwalczać — zło trzeba zwalczać całem życiem we wszystkich jego przejawach. Zło trzeba zwalczać nie tylko cierpieniem, nie tylko męką, ale i radością i uśmiechem i śpiewką i szczęściem — wszystkiem, co nam Bóg dał. Gdy spotkasz kilku chłopców, idących szparko drogą, ustrojonych gałęzią bzu, śpiewających pieśni młode i roześmiane — wiedz, że oni też może zło zwalczają. Gdy zobaczysz dwoje młodych, młodzieńca i dziewczynę, idących pod rękę, zapatrzonych w siebie — wiedz, że może i oni zło zwalczają. Gdy spotkasz dziecko bawiące się przy drodze, wiedz, że i ono zło zwalcza. Gdy trafisz w roztańczoną, rozhukaną salę — nie bój się, to niekoniecznie jest piekielna zabawa. Gdy ujrzysz człowieka zatopionego w poecie, albo zasłuchanego w muzyce, albo zapatrzonego w piękny twór Boga czy człowieka — nie bój się, ten też walczy ze złem. Zło jest przeróżne i walka z niem jest różna. A każdy, kto w Imię Boże śmieje się, walczy, raduje się — tak samo walczy ze złem jakby się modlił lub cierpiał. Byleby nie czynił tego w imię własne, lecz w imię Boże.

I z tem napomnieniem zwalniam cię bracie Pawle z klasztoru. Idź! Idź w świat, odszukaj swego zbłąkanego brata i przywiedź go zpowrotem. Przywiedź go do domu Bożego, żeby się nie błąkał we wrażym obozie. Ale pamiętaj o tych wszystkich środkach walki z szatanem. Idź, błogosławię cię. A przed wyjściem stąd w Imię Boże uśmiechnij się. —

Tak mówił do najsurowszego z braci mądry opat, który przyjechał na wizytację w złocistej kolasie, z orszakiem rycerzy w asyście. Brat Paweł schylił się i z pokorą ucałował pierścień dostojnika, pierścień z ukrytemi w nim świętemi prochami.

*

Straszne wieści poszły po klasztorze. Szeptano cicho między filarami w kościele, na chórze przed Kyrie eleison, przed jedzeniem i po jedzeniu. Mówiły nagle spotykające się spojrzenia, nikłe gesty rąk, wyrazy twarzy, natężonej w słuchaniu...

Ciężar niezwykły padł na klasztor. Powietrze zdawało się być z roztopionego metalu i leniwie wlewało się do płuc. Każdy odgłos przyprawiał o dreszcze — czy to aby nie ten dźwięk straszliwy?

Starano się, by krok na posadzce nie załomotał, by drzwi w zawiasach nie skrzypnęły, by szept głośniejszy nie zatrzepotał pod sufitem.

A w tej ciszy zastygłej w długich, ciemnych sklepionych kurytarzach, w wysokim refektarzu, w wyniosłym kościele... w tej martwocie, w której nietoperze skrzydła zdawałyby się gromko łopotać, w tym bezruchu, który się zdawał być podobnym czarnej, gęstej, lepkiej wodzie — w tem nadsłuchiwaniu wiecznem dawał się czasem słyszeć jęk. Był długi, przeciągły, beznadziejny. Z akompanjamentem chrzęstu łańcuchów przeszywał powietrze jak igła, długa — ostra — lśniąca igła stalowa. Ciarki chodziły wówczas po skórze i sama ręka robiła ruch krzyża świętego...

I poszła wieść, że Złe jest zamknięte w klasztorze. Gdzie...? Jak...? U kogo...? Marszczyły się gniewnie brwi na myśl o takiem zgorszeniu. Poczęto chodzić i podsłuchiwać pod drzwiami cel. Aż pewnego dnia zjawiło się dwóch braci u ojca przełożonego:

— W celi brata Pawła, przewielebny ojcze, jęczy Złe... — orzekli.

*

— Oskarżam cię szatanie, oskarżam cię przed tronem Najwyższego Boga i przed wysokim trybunałem naszym...

Refektarz pokrywały czarne sukna, lamowane srebrem. Dwie gorejące pochodnie migały językami ognia. Trybunał w czarnych szatach, czarnych kapturach i maskach siedział za długim stołem. Na stole jak zawsze: czaszka, krzyż i księga...

Podsądny rozciągnięty był między dwoma filarami. Wisiał. Przy każdym jego ruchu szczękały łańcuchy. — Oskarżam cię — mówił prokurator — o pychę, jaką zgrzeszyłeś na początku. Oskarżam cię o złość i nienawiść względem naszego Pana, oskarżam o złość i nienawiść względem nas — Jego dzieci. Gdyś w śliskim kształcie gada owinął się dokoła drzewa... gdyś, ponętne kształty przybrawszy, owinął się i owijasz dokoła dusz ludzkich. Gdy ostatnio zabrałeś nam z naszej gromadki dwie dusze — najmniej gorliwą i najbardziej, zdawało się, gorliwą, gdy w każdej chwili przemyślasz jakby nas zgładzić — tem wszystkiem wydałeś wyrok na siebie. Już raz ukarany zostałeś — na wieki. Teraz my na cię wydamy wyrok. Oskarżam cię i żądam od was sędziowie, byście jak najsroższą obmyślili dlań karę. —

Cisza zaległa salę. Zadźwięczały tylko łańcuchy — oskarżony szarpnął się znagła, lecz poświęcone więzy nie puściły.

— Czy ktoś chce rzec coś na obronę obwinionego.

Cisza jeszcze większa. Czarna cisza ziała z czarnej studni. To prawieki oskarżały, a dzisiejszość wydawała wyrok. Wyrok zabrzmiał jednomyślnie:

— Winien.

Kąty sali ginęły w mroku. Dwie pochodnie gorzały czerwienią. Duże przekątne srebrnych łańcuchów zbiegały się w środku. Płonęły jeno oczy. — Aż nagle.

Strasznie się śmieją piekła. Rozrechotało się dziewięć kręgów, aż płomień pochodni zbladł w płomienistym śmiechu, aż zatrzęsły się filary refektarza. Trzask i hałas łamiących się gór, skowyt tysiąca wilków, zgrzyt miljona drewnianych kół. I spadał ten śmiech na salę, płynnemi ognistemi kaskadami, rykiem, nienawiścią, triumfem. Zjeżyły się włosy sędziom, zamarły serca. Spojrzeli z obawą, czy nie zachwiał się krzyż od hałasu? Czy nie rozwiała się święta księga? Lecz wszystko było w porządku...

— Ha! — rzekł przewodniczący sądu, ocierając czoło zlane potem.

— Och! — szepnęły ławy przysięgłych.

Wyrok został wydany.

Dalekie echo konało gdzieś na krańcach kurytarzy klasztornych... gdzieś na krańcach dusz obecnych na sądzie. Więzień znów wisiał spokojnie, tylko oczy błyskały mu złowrogo i złośliwie. Kto wie, o czem myślał? Może cieszył się tym strachem, który dwa razy wywołał swym śmiechem? Może rozważał sposoby kuszenia zebranych? Może marzył o nowych duszach, które dla siebie wyłowi?

A trybunał się naradzał. Łatwo było oskarżyć i wydać wyrok — winien, trudniej odpowiednią wynaleźć karę. Dlaczego jesteś tak słaby człowiecze, że nawet męki wrogowi zadać nie możesz? Cóż dla takiego znaczyć mogą tortury? Lub śmierć — Żelazo się przecież nie będzie go imało, śmierć (dłań wybawicielka) nigdy doń nie przyjdzie. Najwyżej można mu zabić jego ziemski kształt, by umożliwić przybranie innego, nieznanego ludziom, któryby łatwiej mógł ich zwieść na manowce. Nie, niema dlań żadnej kary...

— Możnaby go zamurować w celi brata Pawła i otoczyć znakiem pentagramu wyrysowanym poświęconą kredą — tego żaden zły duch nie przekroczy, choćby najmocniejszy...

Taką dał radę najmłodszy z trybunału. Lecz wszyscy zadrżeli na samą myśl o tem. Słyszeć, po wiek wieków śmiech szatański, jaki słyszeli przed chwilą? Ten i ów przeżegnał się na samą myśl o tem.

— Więc?

— Wyszlemy go na góry i lasy. Niech umyka. Niech tańczy z wichurą i kozły wywraca w kipieli. Niech tłucze się po nagich turniach, niech drzewa rwie z korzeniami, niech śmieje się w czarne noce i z łysą czarownicą orgje wyprawia na górze Sabbat. Odżegnajmy się od niego i zwróćmy mu wolność, by odszedł od nas. Niema prawa nas kusić — taką wymierzymy mu karę...

NASZ NOWY FORMAT

Czytelnicy i prasa naogół przyjęli zmianę formatu z uznaniem, doceniając korzyści z niej płynące. Dotąd otrzymaliśmy tylko jeden głos protestu. Podajemy go niżej w wyjątkach, nie wymieniając oczywiście autora:

„Jestem przerażony modnym ogromem formatu, zastosowanym z początku b. r. do Paxu. Wskutek tego zmuszony jestem błagać Szan. Administrację o uwolnienie mnie od tego przedpotopowego potwora... Istotnie monstrualny format... zraził mię do pisania. Format ten znoszę tylko w dziennikach, nie znoszę go w czasopismach, pomimo że jest on modny. Motyw modności owszem, przyczynia się raczej do dyskwalifikacji tego, co na modę leci".

W drugim liście nasz krytyk przyznał się jednak, że zraziło go do PAXu nieumieszczenie recenzyj z jego „dzieł". Tu raki zimują!

* * *

Jednocześnie zawiadamiamy naszych Szanownych Czytelników, że dla ułatwienia przechowywania PAXu będziemy mogli nadsyłać estetyczne i tanie teczki, dostosowane do nowego i dawnego formatu. Cenę tych teczek podamy w najbliższym czasie.

RED.

DWÓJKI I TRÓJKI

(OCENY Z RELIGJI)

Podzielam całkowicie zdanie p. Fr. Bendiga co do tego, że „rozgrywka" życia religijnego powinna odbywać się na terenie gminy chrześcijańskiej, jako ośrodka liturgicznego i społecznego. Chciałbym jednak zaznaczyć 1-o że składową częścią chrześcijaństwa, jak zresztą każdej religji, jest kompleks prawd wiary, który w syntezie z dorobkiem umysłowym w innych dziedzinach, musi wytworzyć światopogląd religijny. 2-o Szkoła stała się oddawna naturalnym terenem życia młodzieży.

Uzasadnienie pierwszej tezy czytelnik może znaleść w książce ks. W. Schmidt'a „Menschheitswege zum Sotterkennen. Eine religionsgeschichtliche und religionspsychologische Untersuchung (Kösel-Pustet, 1923). Autor wykazuje, że czynnik nierozumowy jest w religji, ale nie stanowi jej podstawowego istotnego składnika. U ludów pierwotnych, jak i u stojących na wyższym poziomie kultury, dominującą rolę w religji gra właśnie pierwiastek rozumowy, a nie inny. Podobnego zdania trzyma się L. Grandmaison [1]). Fakt ten pociąga za sobą wniosek, że koniecznym składnikiem wychowania religijnego jest metodyczne nauczanie prawd wiary, które w sposób naturalny powinno odbywać się w szkole.

Co do drugiej tezy, bez sięgania do literatury naukowej, nietrudno dojść do wniosku, że dla dziatwy szkoły powszechnej, szkoła będzie czemś nas: 1. Stanowi nowy świat, dający z ust „pana" lub „pani", coraz nowe światła do dziecinnych głów. 2. Lokal ciepły, jasny, gdzie niema szturchańców i przekleństw, gdzie nawet dają jeść — słowem odprężenie po nędzy materjalnej i moralnej domu rodzicielskiego. 3. Dość świadoma (celowa) kontynuacja nauki rozpoczętej już w domu, dążenie do coraz wyższego poziomu wiedzy („muszę zostać inżynierem, doktorem, tak jak tatuś ..."). 4. Ciążący przymus pracy umysłowej i karności i 5. Próba współżycia z kolegami — chwile jasne i ciemne. Tu znowuż powstaje konieczność pracy wychowawczej kapłana.

Szkoły średniej nie znam prawie wcale. Sądzę jednak, że już z samego tytułu zakładu ogólnokształcącego, gimnazjum musi dać znajomość prawd religijnych, już jeżeli nie do zużytkowania w życiu moralnem ucznia, to przynajmniej dla zapobieżenia przypisywania Kościołowi głoszenia niedorzeczności, co się niestety często dzieje. Absolwent szkoły średniej musi znać przynajmniej z n a - [illegible] C h r y s t u s a P a n a.

Szkoła zawodowa jest wymarzonym terenem wykładu etyki, która na tle zagadnień zawodowych nabiera aktualności, a stąd jeden krok do modlitwy.

Z powyższego widać, że koncepcja przeniesienia nauki religji na teren parafji, musi ustąpić praktyce wysłania w imieniu Kościoła na teren szkoły katechety, zarówno ze względu na nauczanie jak i na wychowanie.

Osobiście pracowałem w najrozmaitszych zespołach, nieraz dla mnie bardzo trudnych. Być może sam zasługiwałem na „dwójkę" za pracę prefektorską. Jednakże nigdy nie zawiodłem się na pierwszej Komunji świętej dzieci i na rekolekcjach. Dzieci, większość rodziców i nauczycielstwo dali dowód zrozumienia powagi tych chwil.

Gorzej się przedstawiała sprawa z nabożeństwem niedzielnem, chociaż widziałem nieraz u starszych swoich kolegów bardzo dobre wprowadzenie dzieci w życie modlitwy.

Widziałem też tak zorganizowane nabożeństwo szkolne: Mszę świętą odprawia zaproszony kapłan. Prefekt stoi wśród dzieci, rodzice po bokach. Nauka po Mszy św. skierowana do dzieci. Kilka razy do roku prefekt, na innej Mszy św. mówi do rodziców o sprawach religijno-wychowawczych. Domyślam się, że odpowiadałoby to myśli p. Bendiga.

Psychologicznie rzecz biorąc, praca katechety ma podwójny cel: nauczyć prawd wiary i dopomoc do przeżycia religijnego (piszę „dopomóc", gdyż samo przeżycie religijne jest dziełem łaski Bożej i woli ludzkiej). Stąd, jak słusznie zaznacza ks. prof. Z. Bielawski, należy zachować równowagę między metodą szkoły pracy, budzącą maximum zainteresowania, a nauczaniem autorytatywnem (chociaż serdecznem i swobodnem, nie miażdżącem), które wywołuje przeżycie religijne. Godzinę religji muszą znamionować zainteresowanie i zamiłowanie.

Ze względu na obowiązek lojalności, wobec tak ważnego zagadnienia jak religja, w szkole musi być stosowany umiarkowany przymus jeżeli chodzi o naukę. Natomiast jeżeli chodzi o podnoszenie i ugruntowywanie życia religijnego „ołówek i notes" należy schować do kieszeni, a na pierwsze miejsce postawić s e r c e d o b r e i m ą d r e [illegible].

Gdy to piszę, przychodzą mi na myśl ci, którzy już odeszli do Boga: kapłani — przyjaciele młodzieży: ś. p. ks. Zygmunt Lewicki, ks. Franciszek Hrynkiewicz, ks. Edward Szwejnic. Dali oni młodzieży wiedzę, życie religijne i serce...

Dyskusja na łamach „Pax'u" toczy się nietyle o teren nauczania religji, co o granice przymusu. Uważam więc, że jeżeli chodzi o naukę religji musi być przymus umiarkowany. Natomiast tam gdzie chodzi o życie religijne, poza jaskrawemi zewnętrznemi wykroczeniami (usunięcie których należy już nie do prefekta, lecz do rodziców i do szkoły), poza przymusem autorytetu moralnego, o żadnym nacisku ze strony katechety mowy być nie może.

X. Józef Zawadzki.

[1]) Christus, Manuel d'histoire des religions, redagowany przez J. Huby, Paris, 1927, r. I.

KORESPONDENCJA

Poniższym listem kończymy dyskusję nad „Alma Mater". Jednocześnie przepraszamy Autora tego listu za spóźnienie jego repliki.

„Audiatur et altera pars" — mam nadzieję, że to uświęcone tradycją zaklęcie otworzy mi wstęp na łamy „Paxu".

Miły, ale dziwnie ostatnio na mnie uwzięty Teodor Bujnicki przypomniał nam z tego miejsca („Pax" nr. 5), że ja „rządząc się dość bezceremonjalnie" w „Żagarach" dopisałem tylko do recenzji „Alm. M." swe wytyczne i kwestjonujące sens istnienia tego pisma uwagi. Istotnie tak było. Szkoda tylko że Bujnicki, zwierzając się po latach, iż przyjął „dość kwaśno" ten „sympatyczny wybryk" nie uważa na to, że 1-o daleko prościej byłoby, co wie każdy „rządzący się" w drukarni, dwa końcowe wiersze chwalące Nowodworskiego wyrzucić do kosza; nie robiąc tego, a dopisując się do notatki, s o l i d a r y z o w a ł e m się tem samem z grzecznościami pod adresem p. W. N.; oraz 2-o że odpowiadając panu W. N. wyciągnąłem „Żagary" g ł ó w n i e „n a o k o l i c z n o ś ć" o w y c h o s o b i s t y c h g r z e c z n o ś c i, a nie sporów merytorycznych o pismo. Inna jest bowiem rzecz uznać rzetelny wysiłek p. W. N. (czy jak teraz — Stefana Zagórskiego), gdy podjąwszy się pracy koło „Alm. M.", dobrze ją wykonuje, zaś podrwić sobie lekko z tegoż pana, gdy przystępując do polemiki, zamiast argumentów stawia kabałę na czyjś osobisty rachunek, a zupełnie inna znów rzecz uważać, że sprawa „Alm. M." jest przebrzmiała i szkodliwa, oraz uzasadniać to bez wszelkich już ceremonij.

Gdy ja więc, medytując nad sposobami — nieumyślnie zresztą, przypuszczam — zastosowanemi przez p. W. N, w stosunku do mnie, powołuję się na „Żagary", by wykazać ten tylko drobiazg, że nawet „rządząc się bezceremonjalnie" byłem bardziej uprzejmy — cóż tu ma do „sprostowania" p. T. Bujnicki?

W innym smaku jest natomiast sprawa owego „miłego, ale niebezpiecznego szkodnika kulturalnego", którym to epitetem miły Bujnicki mnie obdarza. Doprawdy nie wiem, czem sobie zasłużyłem! Może tem, że rychło już drugi roczek stuknie, jak w mieście, gdzie notorycznie żadna akcja literacka utrzymać się nie może, redaguję ową „Kolumnę Literacką", która przecie jest chyba więcej warta, niż w swej niepozornej formie na to wygląda? A może to mnie w oczach Bujnickiego pogrąża, że gdzie mogę występuję przeciw gustom kawiarniano-operetkowym, gdy te próbują uchodzić za wyraz kulturalnego Wilna? Nic nie wiadomo, gdyż Bujnicki o szkodnictwie mówi jak o pogodzie — bez argumentów i przy lada okazji. A może to ma być taki zwrot polemiczny — znowu „w obronie" „Alm. M."? — O, nie wątpię, że ten historyk i poeta jest do poziomu obu tych działów „Alm. M." z wysokim respektem, ja jednak interesuję się w tej chwili tylko metodami tej dyskusji, w której w odpowiedzi na argumenty dowiedziałem się, że jestem literacką efemerydą i szkodnikiem kulturalnym. Otóż uważając że nie pora na jakieś ostre złośliwości (jako że Post i wiosna), pozwolę sobie jednak odwołać się do znanego powiedzonka o cioci i metody do mnie zastosowane określić jako — kanapowe.

Racz przyjąć, drogi Redaktorze etc.

Józef Maśliński.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. J. F. Poznań. Odpowiadamy listownie.

Polak Katolik nie powinien pisać anonimów. Listy niepodpisane na całym świecie idą do kosza.

P. M. G. Mir. „Było nie przyjmować".

P. Z. Wilno. List Pani ze względu na zawieszenie pisma „Poprostu" za komunizm stał się nieaktualny.

P. B. K. Świecie. O próby artykułów prosimy. Co do charakteru ich i wymaganego poziomu zorjentuje się Sz. Pan po przejrzeniu kilku numerów „Pax'u".

P. J. D. Lublin — Odpowiadamy listownie.

POD LUPĄ

Pisma doniosły ostatnio, że w połowie marca b. r. w prawosławnej kapliczce odnowił się cudownie obraz na ołtarzu. Jest to już trzeci podobny wypadek w Pińskiej diecezji prawosławnej w ciągu ostatnich lat.

Warto nie zapominać, że Kościół katolicki nakazuje wierzyć dopiero w te cuda, które zostały oficjalnie potwierdzone. Na marginesie wypadku w Dawidgródku warto przytoczyć następujący urywek pamiętników Ks. Camelli'ego zatytułowanych „Od Socjalizmu do Kapłaństwa" (Lwów 1931):

„W drodze powrotnej spotkała mię gwałtowna burza, lecz zdołałem schronić się na czas do małej kapliczki właśnie w chwili, gdy zaczął padać silny grad. Na ścianie w głębi delikatnie namalowane było oblicze Madonny; wizerunek tak był przez czas zniszczony, że zaledwie można było odgadnąć jego rysy i koloryt. Z nieodłącznego pudełka (Camelli był malarzem) wyciągnąłem paletę i z prawdziwem zadowoleniem odmalowałem tę twarz zblakłą... Na drugi dzień świąteczne tłumy zwiedzały kapliczkę, oglądały też odmalowaną przezemnie Madonnę, a byli tacy, którzy widzieli ją jeszcze wczoraj i nie mogąc sobie wytłumaczyć dzisiejszego jej wyglądu i świętości — uwierzyli w cud. Wiadomość ta, doszedłszy do uszu tłumu, została przezeń podchwycona; wieczorem mówiono już o tem w moim hotelu. W pierwszej chwili chciałem wyjaśnić sprawę, ale myśl, że lepiej tego nie robić, zamknęła mi usta. Niech wierzą — pomyślałem sobie". (str. 86 — 87). (Działo się to w okolicach Locarna). *wr.*

*

Wołanie o ewangelizację chrześcijaństwa... I oto kwiatki, ukazujące grozę naszej rzeczywistości religijnej. Nie anegdota, i nie wolne żarty...

* * *

Zdarzyło mi się w Wielkim Poście, iż byłam w kinie na „Królu Królów" ze swoją służącą. I oto przekonałam się że ta religijna dziewczyna, nie należąca coprawda do żadnego stowarzyszenia religijnego, ale regularnie uczęszczająca na wszystkie możliwe świąteczne nabożeństwa, nie zna, d o s ł o w n i e n i e z n a historji życia Jezusa Chr., więc nietylko nie wie n i c o jego nauce, cudach, ale nawet męka Chrystusa jest dla niej czemś tak mglistem, że poza faktem ukrzyżowania nic więcej nie doszło do jej świadomości. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że dziewczyna jest dość inteligentna, dobrej woli, czytuje nawet jakieś pisemka religijne — to przychodzi odrazu do głowy, o czem słyszy nasz lud z kazalnicy, skoro tych najłatwiejszych i najważniejszych podstaw nie zdobywa. A szkoda, bo możeby przybliżanie dziejów Jezusa Chrystusa nie było tak bardzo sprzeczne z duchem Kościoła.

* * *

De gustibus non est disputandum. Mówił mi jeden z naszych księgarzy, że nasza publiczność nie lubi książek, nawet religijnych, na których widnieje cytata z Pisma Św. Książki takie nie idą... Nie lubią ich laicy, nie lubi duchowieństwo, coś im to przypomina... niemiłego... czy nudnego...

Polonia semper fidelis... *H. W. W.*

W najbliższym czasie ukaże się w księgarniach groteska satyryczna Antoniego Gołubiewa p. t.: **MĘDRCY NA ARENIE,** której znaczną część drukował PAX w roku ubiegłym. Nasi prenumeratorzy mogą tę książkę nabyć za cenę 1 zł., o ile prześlą tę kwotę do administracji PAX'u w ciągu miesiąca. Cena księgarska powieści będzie znacznie wyższa.

REDAKTOR NACZELNY: ANTONI GOŁUBIEW. — REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WITOLD RUDZIŃSKI. — WYDAWCA: WACŁAW TARASIEWICZ. — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł.. kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49